ALEKSY RŻEWSKI

W WALCE Z PRZEMOCĄ

WSPOMNIENIA

WYDAWNICTWO
AD. INGSTERA
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 42/2
ŁÓDŹ
SKRZYNKA POCZT. 36
1919


M.B.
im.
L. W.
Łodzi


WiMBP
w Łodzi



Ukochanej żonie

Stanisławie

i synom moim

Zdzisławowi i Aleksemu

wspomnienia te poświęcam.

TREŚĆ.





PRZEDMOWA.

„Walka z przemocą“ to szereg fragmentów z życia człowieka, który od wczesnej młodości stanął do walki o wolność jednostki i narodu, walki krwawej, zapamiętałej a ciężkiej, bo nierównej: walki bezbronnej klasy robotniczej przeciwko całej piekielnej potędze caratu.

Dziś, gdy nam w całej pełni zajaśniała „jutrzenka swobody“, oszołomieni zawrotnym biegiem rozgrywających się przed naszemi oczyma wypadków, nie mogąc ochłonąć ze zdziwienia na widok zmian i przeobrażeń, jakim w ciągu ostatnich pięciu lat podlegają ludy obu półkul; gdy to, co tak niedawno wielkie i potężne, runęło w gruz i pył, a nic nie znaczące narody jak feniks powstają z popiołów—dziś słuszną jest rzeczą cofnąć się myślą wstecz do tej odchodzącej przeszłości, kiedy to światli i trzeźwi „mierzący zamiary na siły“ politycy myśl o wyzwoleniu Polski uważali za mrzonkę, a bohaterskie porywy jednostek, nie znających z niewolą kompromisów, z urągliwem szyderstwem piętnowali mianem szaleństwa. Dziś właśnie, gdy jawą się stało, co dotąd snem było tylko, słuszną jest rzeczą zwrócić się myślą ku tym szarym nieznanym, bez herbu i stalowego hełmu rycerzom, co, zaprzepaściwszy się w miłość dla wyśnionej przyszłej Polski ludowej, przynieśli Umiłowanej w ofierze

wszystką radość życia, na szubienicy śmierć niesławną i przekleństwo własnego społeczeństwa, które, „rozciepliwszy się w bezruchu", rozmiłowane w filisterskiej wygodzie codziennego bytowania, drżało z lękiem przed grozą nadchodzącej burzy, która, Bóg wie, co przynieść mogła.

Zapomnieli ci trzeźwi i odważni, że „tylko z zamków na lodzie powstają pałace", że śmiała myśl musi się w słowo przerodzić, a Słowo winno się stać Czynem.

Aleksy Rżewski, były robotnik łódzki, Człowiek Czynu, jeden z tych, który usilną swą pracą przyłożył cegiełkę do budowy Niepodległej Polski, zapoznaje nas w tej oto książce z krwawym trudem swoich towarzyszy, walczących o lepszą dolę dla klasy robotniczej. Daje nam oto garść własnych wspomnień i przeżyć. Nie sięgając po laury, należne wielkim mistrzom słowa, bez patosu, prosto i szczerze opowiada o tem, co widział, przemyślał, przebolał.

To życie samo przemawia do nas językiem tych kart, tragizm życia robotnika polskiego z ostatnich lat caratu do ostatniej chwili najazdu krzyżackiego.

Ada Koziołkiewiczówna.

Łódź, dn. 3/VI 1919 r.

Z walk kainowych w Łodzi.

Łódź robotnicza posiada również swoje czarne karty, a są niemi walki bratobójcze. Z mroków piwnicznych, z ciemnoty, z posiewu nienawiści i fanatyzmu partyjnego, który stwarzał zaciekłych sekciarzy z robotników, zrodziła się ohydna zbrodnia bratobójcza. Brat na brata polował jak na zwierzę, skradał się pod osłoną nocy i mordował nieraz z lubością, z błyskiem radości w oczach. Wspólna niedola ich gniotła, a jednak klasa robotnicza rozbiła się wtedy na dwa dyszące nienawiścią obozy nieprzyjacielskie.

Jedni uważali to za obowiązek wobec „rewolucji", drudzy za nakaz „narodowy".

Pachołkowie carscy, wrogowie ludu roboczego zacierali ręce i podsycali zabójcze zarzewie, rozdmuchując tlejące już iskry.

Nieraz podczas pogrzebów zabitych przysięgano na jednym grobie krwawy odwet „socjałom", a o miedzę dalej, na drugim, tak nazywanym „huliganom". I zdawało się, że nie skończy się ta orgja nienawiści, że miłość bliźniego i hasło braterstwa wydziedziczonych zostały odrzucone na zawsze. Dzieci traciły ojców, żony mężów, siostry braci, a dzienniki łódzkie codziennie publikowały krwawe litanje w sposób lakoniczny, potęgując powszechne zdziczenie i żądzę krwi, np.: „Zabito 10 narodowców, 15 socjalistów".

A czytelnik, stosownie do zapatrywań, śledził z rozgorączkowanym wzrokiem liczby i zapytywał, jak o rzecz zwykłą, swego najbliższego sąsiada: „Których padło więcej?"... i gdyby Grotger widział w Łodzi te straszne obrazy, stworzyłby może nową

„Wojnę“, która potęgą treści i grozą scen raz na zawsze odstraszyłaby ludzi zwyrodniałych od „kainowych“ czynów.

A zanim się krew bratnia polała, — tak twierdzą wtajemniczeni, — pewien „dyplomata“ polski, głowa stronnictwa, za cenę zgniecenia rewolucji składał ofertę Wittemu o autonomję Polski... „Szut gorochowoj“ odrzekł na tę propozycję Witte.

„O, rękę karaj, nie ślepy miecz!“ wyrywało się na usta każdemu szczeremu patrjocie i człowiekowi w tych czasach... Ja byłem wtedy sekretarzem związku włóknistego, liczącego w Łodzi 30,000 członków.

Nieszczęście chciało, że napadnięto na członków narodowego związku włóknistego „Jedność“ (raniono wtedy na Bałutach w dorożce ob. Marciniaka i innych). Fakt ten wystarczył, ażeby odwet i zemstę wywrzeć na mnie, jako na kierowniku pepeesowego podobnego związku. Rozpoczęto mnie śledzić, kiedy wychodziłem z biura lub wracałem do domu. Czynności wywiadowcze spełniała jakaś kobieta, która w ciągu kilku dni towarzyszyła mi w znacznej odległości.

Dnia 7 stycznia roku 1907 powracałem z pogrzebu zabitego członka związku. Przy zbiegu ulic Zarzewskiej i Kruczej zastąpiło mi drogę czterech uzbrojonych ludzi, którzy z okrzykiem „Ręce w górę!“ dali do mnie kilka strzałów. Pociemniało mi w oczach. W nogach, boku i ręce szarpnęło mnie coś raptownie i runąłem na ziemię.

Uczułem, że kilku ludzi mnie rewiduje, poszukując broni. Jeden z nich krzyknął: „Żyje jeszcze!“; rozległo się znów kilka strzałów, i wpakowano mi na pożegnanie pod lewą pachę trzy kule. Burka w tem miejscu była kilkakrotnie przestrzelona.

Widocznie ktoś się zbliżał, bo moi kaci rzucili się do ucieczki. Z trudem otworzyłem oczy: uczułem, że po obydwu nogach spływa mi dość obficie krew, to samo wrażenie odczułem w boku i ręce.

Umrę — pomyślałem sobie z rezygnacją i po chwili dziwny szum w skroniach wraz z uczuciem dziwnego beztroskiego spokoju i ukojenia ogarniał mnie coraz silniej. Zdawało mi się jednocześnie, że zaczynam spadać gwałtownie w przepaść. Straciłem świadomość...

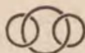
Obudził mię silny ból w nogach. Leżałem na łóżku w schludnem jakiemś mieszkaniu robotniczem.

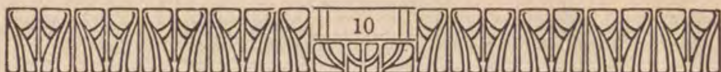
Lekarz opatrywał mi nogi, przeciągając dookoła ran gazę; wokoło łóżka grono znajomych i towarzyszy wyrażało mi swoje współczucie, niektórzy ślubowali odwet.

I znów zaczyna się błędne koło — pomyślałem.

Nogi, przestrzelone na wylot kulami mauzerowskiemi, opuchły mi jak konwie, lżejsze rany otrzymałem w bok i rękę.

Nareszcie zdobyłem się na wysiłek i odwagę: spytałem doktora „Czy będę mógł chodzić?“ Doktór, który dnia tego już dziewiątą ofiarę bratobójczej walki opatrywał, nie odrzekł nic, lecz, tłumiąc wzruszenie, zakrył twarz chustką. Zdawało mi się wówczas, że boleje on wraz ze mną nad pohańbieniem światła i miłości przez mrok i nienawiść.





Na barykadach.

(1905 rok w lipcu).

Nareszcie, po długich tajonych w głębi serca oczekiwaniach, po kilku latach działalności konspiracyjnej, podczas której wchłaniałem chciwie nielegalne książki, przemycane z Krakowa— opowieści i dzieje męczeńskie bojowników niepodległości — rozgorzała walka na barykadach w Łodzi.

Bruki ulic zaczerwieniła krew żołdaków carskich.

Za napad kozactwa i krwawą masakrę bezbronnego tłumu manifestantów przy ul. Piotrkowskiej zawrzała protestem Łódź robotnicza.

Od samego rana zawyły żałobnie buczki i świstawki fabryczne, masy pracujące wyległy tłumnie na ulicę, gęste patrole wojskowe i policyjne z bronią, gotową do strzału, przeciągały ulicami miasta.

Ludność pałała zemstą i żądzą odwetu.

Do pierwszego starcia z żołdactwem doszło w tak zwanej republice pepesowej na Widzewie.

Kilkuset robotników z żerdziami, wyrwanemi z parkanów, ruszyło w brawurowym ataku na oddział kozacki, który, zostawiwszy dwóch ciężko rannych kozaków na miejscu, pierzchnął w panicznym popłochu.

Ażeby uchronić się od karnej ekspedycji na Widzew, zbudowano z nabytych pak bawełnianych barykady. Środek ten i zwycięstwo widzewiaków zostało z entuzjazmem przyjęte przez ogół robotniczy, i w ciągu dwóch godzin, jak grzyby po deszczu, powstawały prawie że na każdej ulicy barykady. Najczynniejszy udział w budowie barykad (tak jak na całym świecie) brali chłopcy, pełno ich było wszędzie; z brawurową wprost pogardą śmierci

wdrapywali się na dachy domów i kamienic, spychając na wojsko i kozaków balje napełnione kamieniami.

Na ulicach Wschodniej, Widzewskiej, Rzgowskiej, Piotrkowskiej i Krótkiej ukamienowano w ten sposób kilkunastu kozaków.

Żołdactwo mściło się i schwytanych robotników na ulicy rozstrzeliwało lub zakłówało bagnetami. W ciągu dwóch dni raniono i zabito przeszło tysiąc osób.

Masowe rozbijanie i rabowanie sklepów przez rozbestwione żołdactwo powtarzało się codziennie. Spiskowo-bojowa organizacja P. P. S., której byłem członkiem, miała zadanie ująć całą akcję masową w zorganizowane ramy i prowadzić prawidłową walkę o charakterze partyzanckim.

Zbudowaliśmy pod kierunkiem tow. instruktora, byłego oficera rosyjskiego, kilka barykad wzorowych, wedle wszelkich zasad saperskich. Wyrwaliśmy na pewnej przestrzeni bruk, kamienie usunęliśmy zupełnie i wykopaliśmy szaniec ze stosownym nasypem, który był doskonałą osłoną. Wyloty barykad znajdowały się ukośnie w bramach domów, skąd w razie przewagi „nieprzyjaciela“ można się było wycofać bez strat na sąsiednie podwórza.

Służbę sanitarną zorganizowaliśmy w okolicznych domach. Barykada taka, zbudowana w formie trójkąta na skrzyżowaniu ulic, umożliwiała wygodne ostrzeliwanie atakujących.

Podobnych szańców zbudowaliśmy osiem.

Jedna z najsilniejszych barykad była na Widzewie. Naczelnikiem obrony tej dzielnicy był tow. Praski.

Trzykrotnie odparto tutaj atak kozaków.

Wieczorem wszystkie „piątki“ zbierały się w konspiracyjnem mieszkaniu, ażeby zdać służbowy raport lub uzupełnić przetrzebione oddziałki nowymi szeregowcami.

W drugim dniu walki komendant naszego oddziału został raniony w rękę, wobec czego kierownictwo „piątką“ zostało mi powierzone w zastępstwie.

Dla mnie, rozegzaltowanego młodzieńca, był to zaszczyt nielada. Wydałem stosowne rozkazy i oczekiwałem lada chwila ataku „nieprzyjaciela“. Załoga barykady składała się z dziesięciu towarzyszy; uzbrojoną była w trzy karabiny, zdobyte wraz z ładownicami na kozakach, trzy rewolwery systemu „Nagana“; reszta obrońców posiadała długie piki. Na pobliskich kamienicach trzypiętrowych chłopcy, napełniwszy balje i beczki kamieniami, oczekiwali spokojnie trąbki sygnałowej.

Myśl, że za chwilę będę mógł zmierzyć się z tymi, którzy nas gnębią, mordują i okradają, nastroiła mnie mściwie i wojowniczo.

Zwróciłem się do towarzyszy z przemową, w której rzekłem, że mamy zaszczyt walczyć po raz pierwszy o wolność, niepodległość i sprawę robotniczą z odwiecznym wrogiem naszym — caratem!

Bojowe okrzyki i śpiew rewolucyjny współtowarzyszy były mi odpowiedzią i jasnym dowodem, że wszyscy tak jak i ja odczuwają potrzebę walki z najezdniczem żołdactwem.

Po chwili tętent cwałujących koni dał się słyszeć coraz silniej i u wylotu ulicy ukazał się szwadron kozaków, pędzących galopem na naszą barykadę. „Cel!“ „Pal!“ wrzasnąłem jednocześnie. Z domów po obu stronach ulicy jak grad zaczęły spadać kamienie. Czterech kozaków zwaliło się z koni, reszta w panicznym przestrachu rzuciła się do ucieczki.

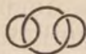
Jednego z ranionych kozaków koń przywlókł prawie do samej barykady.

— „Niech żyje sprawa robotnicza!“ „Precz z caratem!“ rozległo się wśród naszej rozentuzjazmowanej wiary. Kilku towarzyszy, strzelając, puściło się w pogoń za kozakami. Od zabitych odpasaliśmy ładownice i zabraliśmy karabiny. Dobiliśmy konia, który, raniony w brzuch, rzęził ciężko.

Jeden z kozaków, ranny kamieniem w głowę, podczas odpasywania mu ładownicy, w mniemaniu, że chcemy go dobić, zaczął formalnie wyć ze strachu.

Aczkolwiek bestjalskie czyny kozackie i setki bezbronnych zabitych dyktowały nam zemstę, to jednak czuliśmy, że dobicie go byłoby czynem niegodnym żołnierza rewolucji. Wciągnęliśmy go do bramy i opatrzyliśmy mu zranioną ciężko rękę i głowę. Kozak spoglądał z niedowierzaniem na nas, nareszcie ryknął nieludzkim głosem: „Spasibo, rewolucjoniery poljaki, za żizń!“ i usiłował całować nas po rękach.

Tow. Starski, który nazajutrz poległ od kuli kozackiej, odrzekł z godnością: „Pomnij, kozak, czto poljak, borjuszczyjsia o swobodu, nie warwar, a człowiek!“ (Pamiętaj, kozacze, że polak, walczący o wolność, nie jest barbarzyńcą, lecz człowiekiem).





Rycerz niezłomny.

> Gdy wszystko wewnątrz łamie się i kruszy,
> Gdy wiara zwycięstw milknie, bądź umiera,
> Jedno bez zgonu w męskiej żyje duszy:
> Cześć dla dzielności, cześć dla bohatera!...
>
> *Edward Milewski.*

Jeżeli kiedyś w przyszłym Panteonie proletarjackim czcić będziemy pamięć bojowników, którzy za sprawę robotniczą życie swe dali w ofierze, to wśród owych bohaterów najwięcej chyba znajdzie się pepesowców, bo żadna organizacja rewolucyjna w Polsce nie wydała tylu rycerzy ducha, tylu nieustraszonych szermierzy, tylu męczenników sprawy proletarjackiej, co P. P. S.

I dlatego każdy z członków tej partji dumnym się czuje, że należy do organizacji, posiadającej tak świetną przeszłość: „Nie straszna dla nas ni burza, ni grom!“ możemy śmiało rzucić w oczy wrogom klasy pracującej.

Organizacja bojowa, istniejąca do bezpośredniej walki zbrojnej ze zbirami carskimi w czasach rewolucyjnych 1906—10 roku, składała się z towarzyszy, którzy na rozkaz wydziału bojowego za sprawę wyzwolenia ludu gotowi byli się rzucić na całe tłumy żołdaków.

A schwytani znienacka czy podstępem (bo rzadko którego schwytano z bronią w ręce), umierali jak przystało, dumnie i śmiało. Pamiętne są ostatnie słowa Kopisia, Okrzei, Montwiłła, Szulmana. A iluż było takich, o których, niestety, nie przedarła się wiadomość przez mury więzień carskich?...

Bojowcy w lwiej części rekrutowali się ze sfer robotniczych, instruktorami byli przeważnie inteli-

genci z wyższem wykształceniem technicznem, koniecznem w tego rodzaju sprawach, idealiści, marzyciele, wychowani na romantycznej literaturze po-powstaniowej, mściciele krzywd ojców i braci. Jednych ciągnęła do bojówki żądza niebezpieczeństwa, temperament ten sam, który zapisał złotemi zgłoskami Polaków w walkach o wolność Europy i Ameryki, ten sam, który unieśmiertelnił polskich komunardów na barykadach Paryża... Inni, tych było najmniej, oswoili się ze śmiercią, przeżyli w duszy konsekwencje, jakie ich czekać mogą; chłodni, rozważni gotowi byli drogo oddać swe życie.

Do tych należał tow. Walek (Kobiałko). Na pierwszy rzut oka niktby nie przeczuł, że jest to uczestnik około 30 zamachów w latach 1905—10 podczas walki rewolucyjnej w Królestwie.

Niskiego wzrostu, o twarzy bladej, uduchowionej, cichy, skromny, małomówny, nieznający potrzeb osobistych, gdyż życie całe wypełniała mu SPRAWA, był jak gdyby uosobieniem dobroci i pogody charakteru. W ciągu całej swojej działalności nie splamił się nigdy żadnym czynem nieszlachetnym. Etycznie czysty, był surowym dla tych, którzy postępowaniem plamili honor i godność bojowca. Szczęście w działaniu sprzyjało mu zawsze. Dwukrotnie ranny, otoczony nieraz przez sfory szpicli i żandarmów, wychodził z opresji zawsze obronną ręką; ratowała go zimna krew i nadzwyczaj szybkie orjentowanie się w niebezpieczeństwach.

W 1906 roku był instruktorem bojowym w Kieleckiem, Puławskiem i Lubelskiem.

Nieraz, siedząc przy pracy na zydlu szewckim, na natarczywe nalegania z mojej strony głosem cichym, monotonnym opowiadał swe krwawe dzieje, a mnie wtedy przed oczyma duszy przesuwała się garstka nieśmiertelnych, którzy wbrew panującej wtedy opinji ugodowej, wbrew oportunizmowi bliskich współtowarzyszy, padali jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec „za wolność i lud!“...

Tow. Walek wcześnie, bo w 19-ym roku życia wstąpił do kieleckiej organizacji bojowej. Na widok gwałtu i przemocy burzyła się w nim krew, ręce zaciskały się mściwie, a pierś paliła żądza odwetu. Z niecierpliwością oczekiwał „pierwszej roboty beckiej“, która wobec wrzenia rewolucyjnego, ogarniającego państwo carów, trafiła się dość rychło.

Pierwszy chrzest bojowy przeszedł w zbrojnej manifestacji w Radomiu w roku 1904, gdzie zabito pułkownika, i odtąd już wypadki prowadziły go po krwawym szlaku.

Z notatek, jakie wtedy poczyniłem, przytaczam ważniejsze „roboty“ w nadziei, że, podając je do wiadomości, zapiszę na zawsze w pamięci towarzyszy postać i czyny jednego z bezimiennych bojowników sprawy robotniczej i będzie to przyczynkiem do historji krwawych zmagań z caratem.

W 1905 r. z ręki jego pada w Kielcach strażnik, znany z bestjalskiego obchodzenia się z aresztowanymi.

W marcu tegoż roku bierze czynny udział w konfiskacie paszportów w Kieleckiem, w konfiskacie pieniędzy monopolowych w Leśniczówce pod Skaryszewem, gdzie dynamitem wysadzono kasę. W Szydłowcu zniszczono monopol.

W Radomiu bierze udział w akcji przy ulicy Szerokiej, gdzie urządzono zasadzkę na żandarmów, rzucając bombę.

W 1906 r. zabija prowokatora Kryłowa, konduktora kolejowego, w pociągu w drodze do Skarzyska.

W marcu tegoż roku w Kielcach przy ulicy Bożęckiej w biały dzień ginie od jego kuli starszy strażnik, znany w całem mieście z niecnych czynów.

W Chęcinach kieruje akcją, mającą na celu wytępienie prowokatorów w tem mieście. W biały dzień zastrzelono jednego, następnie drugiego szpicla, trzeci zdążył zbiec. Żyd w rynku, widząc stojącego na straży tow. W., z krzykiem: „bandyta!“ rzucił się na niego z taką siłą, że upadł z nim razem. Żydówka

rzuciła się na pomoc swemu mężowi, robiąc straszliwy wrzask. Nadbiegli współtowarzysze i przepędzili ich. Podczas całej akcji strażnicy w miasteczku tak się skryli, że żaden nosa nie pokazał.

Po drodze z Włoszczowy do Kielc rozbito wszystkie monopole.

W Chmielniku w czerwcu 1906 roku bierze udział w napadzie na pocztę. Urzędnik dał do niego kilka strzałów, lecz grad kul mauzerowskich przekonał go tak dobitnie, że podczas akcji skrył się i już nie przeszkadzał.

W Białogonie pewna para małżeńska posiadała sklep, który był jednocześnie punktem zbornym szpicli i ochranszczyków. Para ta była postrachem całej okolicy; kto jej się nie opłacał, był aresztowany. W czerwcu 1906 roku kulą browninga przerywa jej niecne życie.

W lipcu 1906 roku bierze udział w napadzie na stację kolejową Białe. Zaalarmowano wojsko, które było tam wtedy w dość poważnej liczbie, szczęśliwie jednak udało się szóstce wycofać do pobliskiego tartaku, a potem dalej.

W Międzyrzecu w r. 1906 kilkunastu towarzyszy opanowało stację. Kasa ogniotrwała, zawierająca pieniądze rządowe, była mocno zamknięta. Tow. W. zakłada dynamit, który był zmarznięty i dopiero zlany naftą, wybucha z taką siłą, że rujnuje całą stację.

Pod Łukowem w r. 1906 kieruje akcją napadu na Leśniczówkę, gdzie miały znajdować się pieniądze rządowe. Wchodząc do pokoju, zastali leśniczego wraz z pułkownikiem Obruczowym, znanym z pogromów białostockich i z tłumienia ruchu w czasie barykad łódzkich; grali obaj w szachy przy stole. Satrapa, widząc wchodzących, rzucił się do drzwi, wyrwał je z zawias, usiłując się dostać do pokoju, gdzie była złożona broń. Kilka strzałów posypało się w ślad i, przeszyty kulami, runął na podłogę. Czterech żołnierzy w przyległym pokoju, prosząc o zmiłowanie,

oddali swe karabiny; pozostawiono ich w spokoju. Po skonfiskowaniu broni i pieniędzy rządowych odwrotu dokonano szczęśliwie, burząc po drodze pięć monopoli i konfiskując jednocześnie paszporty w dwóch gminach.

Na stacji kolejowej Rejowiec w roku 1907 skonfiskowano pieniądze carskie; bierze w tem udział tow. W. Podłożywszy dynamit, który zbyt wolno się palił, kierownik akcji tow. Stanisław zbliżył się do kasy, aby zobaczyć, czy się pali. W tym momencie rozległ się ogłuszający huk i detonacja, od której zapadł się górny sufit. Tow. Stanisław ocalał prawie cudem, odniósłszy rany twarzy i rąk.

W roku 1907 podczas konfiskaty pieniędzy carskich na stacji Nałęczów (gdzie zginął sędzia lubelski, który nie chciał podnieść rąk do góry) wycofuje tow. Walek z największym trudem swój oddziałek.

W r. 1907 w marcu w Kazimierzu bierze udział tow. W. w akcji na pocztę i monopol, konfiskując jednocześnie paszporty gminne.

W tymże roku 1907 zostaje aresztowany podczas odwrotu szóstki. Nie posiadał już przy sobie broni. Odstawiono go do Puław i oddano pod sąd polowy. Z pomocą towarzyszy z wolności tow. Walek, przepiłowawszy kraty, przez dół ustępowy zbiegł szczęśliwie z więzienia.

W dwa tygodnie później kieruje już akcją w Małogoszczy i Chęcinach na pocztę i monopol, a w tydzień później na stację kolejową Bystrzyce.

W tym czasie w Lublinie technik bojowy Kobierzycka (pseudonim „Wanda“), której brat za bandytyzm i sprzedanie broni został z rozkazu wydziału bojowego zabity, mszcząc się, wydaje cały szereg towarzyszy. „Wsypuje“ tow. „Froima“ (stracony na stokach cytadeli w r. 1908), u którego znaleziono dynamit, trąbkę i t. p. rzeczy, a tow. Walek tylko przypadkowo unika zasadzki, nie przybywając na nocleg do mieszkania przygotowanego przez Kobierzycką. Aresztowana pozornie wraz z innymi została zdemasko-

wana przez jednego z towarzyszy, listonosza, który przejął jej „donos“ do żandarmerji.

W Kielcach w miesiącu maju r. 1907 z dwiema szóstkami, uzbrojonemi w strzelbę i dziewiątki, które podczas akcji z wyjątkiem jednego browninga zawiodły (w przeddzień magazyn broni W. B. wpadł w ręce policji), tow. W. decyduje się na napad na inkasenta, wiozącego pieniądze rządowe. Uczestnicy akcji, zauważywszy, że broń nie funkcjonuje, rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony; został się tow. Walek z dwoma innymi towarzyszami. Dwu żołnierzy wraz z inkasentem spłoszone konie poniosły. Goniono ich jednak aż do wsi, gdzie kasa carska ocalała od bojowców.

Drugi napad pod Chęcinami i Kielcami również się nie udał. Żołnierze skoczyli z wozu do pobliskiego rowu, odstrzeliwując się gęsto, uniemożliwiając w ten sposób zbliżenie. Ażeby uniknąć niepotrzebnych ofiar, dokonano odwrotu.

Na stacji Tumlin pod Kielcami tow. W. rzuca bombę pod pociąg, wiozący pieniądze. Podczas strzelaniny siedmiu ludzi z eskorty zostało zabitych, kasjer wyszedł bez szwanku. Pieniądze na przygotowanej furmance zabrano.

W roku 1908 w Kielcach bierze udział w odbiciu tow. Bronisławy. Akcja rozegrała się wtedy na schodach sądowych, gdzie padło trzech broniących się zaciekle żołdaków.

W r. 1908 w marcu w Kielcach grasował starszy wachmistrz, były członek orkiestry Namysłowskiego, który w pierwszych czasach rewolucji udawał wobec robotników sympatyka, brał odezwy, a potem w czasach reakcji rozpoczął energiczne tropienie i prześladowanie znanych mu towarzyszy. Ochraniany zawsze przez żołnierzy, był pewny siebie, spotkany na ulicy przez jedną z szóstek bojowych z tow. W. na czele, pomimo obstawionych wtedy przez wojsko domów, powalony został kilkoma strzałami na ziemię. Uratował jednak swe życie dzięki pancerzowi, który na

sobie nosił. Powrócił po kilku miesiącach do Kielc o kulach i zniknął z kieleckiego bruku bez wieści.

W akcjach powyższych brał również udział jeden z najdzielniejszych instruktorów bojowych tow. Franek-Gibalski, ułan legjonów, którego nekrolog znajduje się w kalendarzu P. P. S.

Słynny później b. instruktor bojowy, prowokator Tarantowicz z Lublina (pseudonim „Albin"), również brał udział w niektórych przytoczonych powyżej akcjach. Schwytany podczas utarczki z żandarmami w Ostrowcu ratował swe nędzne życie denuncjacjami. Po masowych jego „wsypach" w całym kraju, kiedy poczuł, że ochranie staje się zbytecznym, zbiegł do Krakowa, gdzie przed organizacją niby skruszony wydał wszystkich prowokatorów i spostrzeżone tajemnice ochrany, spodziewając się bezkarności. Z Krakowa wyjechał do Włoch, skąd w zamkniętym koszu przesłano go otrutego do Warszawy. W taki sposób skończyła się karjera prowokatora.

W roku 1908 na jednej z ulic Sosnowca tow. W. kładzie trupem znanego kata robotników, starszego strażnika Swędzioła.

W roku 1909 bierze udział w słynnym napadzie na pociąg w Bezdanach, gdzie skonfiskowano pół miljona rubli. Miljon rubli, zapakowanych w niepokaźnej paczce, ocalało. 18-tu ludzi rozbroiło wtedy 50-ciu żołnierzy, których większość w las zapędzono. Odwrót odbywał się dwiema grupami; podczas odwrotu został aresztowany Figiel-Fijałkowski, robotnik z Ostrowca, który wydał jednego z uczestników akcji, bojowca, księcia Świrskiego, skazanego później na 20 lat katorgi.

W akcji powyższej brali udział wszyscy wybitni instruktorzy, jak również członkowie wydziału bojowego.

W r. 1909 tow. W. wyjeżdża do Lwowa, gdzie przechodzi 4-miesięczną uzupełniającą szkołę „becką", stamtąd wyjeżdża do szkoły „bombistów", gdzie zaprawia się specjalnie w obchodzeniu się z „babkami",

przeznaczonemi na Skałłona w Warszawie i Kaznakowa w Łodzi.

W Grodzisku r. 1909 zostaje raniony w udo podczas zamachu na znanego kata robotników radomskich i ostrowieckich, Aleksandrowa. Do ranionego bombą satrapy daje tow. W. dwa strzały z browninga, trafiając go w kark. Choć raniony, w pościgu uchodzi szczęśliwie.

Po wyleczeniu się z rany bierze udział w napadzie na pocztę między Rejowcem a Krasnymstawem, gdzie czterech strażników zabito, natomiast pieniądze poniosły konie, których nie udało się dogonić.

W odwrocie wynikło starcie pod Lublinem ze strażnikami, z których jeden został zabity, drugi raniony.

W tymże r. 1909 w Kielcach zabija tow. Walek prowokatora Ziółkowskiego, kolejarza, na ulicy Staro-Warszawskiej.

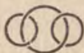
W r. 1910 pod Białogonem otoczony wraz z dwoma towarzyszami przez policję i żandarmerję, z bronią w ręce toruje sobie drogę. Podczas odstrzeliwania się tow. „Śmiały“ z Ostrowca zostaje śmiertelnie raniony. Wobec przewagi liczebnej policji tow. W. rzuca pomiędzy nich petardę, która eksploduje z straszliwym hukiem, i przez rozbiegłą w popłochu czeredę toruje sobie drogę. W odwrocie palto i spodnie jego były przeszyte kilkoma kulami, jak również zimowa czapka barankowa, lecz celność strzałów tow. W., od których padło trzech strażników, tak ich przestraszyła, że zaniechali pościgu.

W roku 1910 między Turkiem a Kaliszem podczas napadu na pocztę kieruje akcją, gdzie dwóch żandarmów i pięciu strażników zostało zabitych. Skonfiskowano 40 tysięcy rubli.

Od tej chwili tropiony przez żandarmów i szpicli, którzy na zasadzie zeznań prowokatorów posiadali jego dokładny rysopis i fotografję, zmuszony zostaje do wyjazdu zagranicę, gdzie pracuje w kolonji polskiej, rwąc się jak dawniej do czynu i walki.

Minęło lat parę. Tow. Walek, wysłany z I brygadą w charakterze wywiadowcy, organizuje na tyłach armji rosyjskiej w Królestwie partyzantkę, wysadza most kolejowy pod Tłuszczem i z lotnym oddziałem bojowym zadaje Moskalom ciężkie straty. Trwa na stanowisku do chwili wkroczenia Beliny do Lublina; uczestniczy w wielu bitwach. W r. 1917 w okupacji austrjackiej organizuje oddziały bojowe do walki z Austrjakami.

Oddając hołd ofiarności i bezgranicznemu poświęceniu się dla idei tow. Walka, w tem mniemaniu, że odbije się to sympatycznem echem w sercach tysięcy towarzyszów, w nagrodę za trudy, znoje, przelaną krew dla sprawy, pragnę, aby doleciał go nasz okrzyk: „Nieustraszonemu i ofiarnemu rycerzowi pracy i ducha od całej pepeesówki — Cześć i sława!“



Poległym cześć.

Każde miasto polskie posiada swoją Golgotę, gdzie oprawcy carscy mordowali tych, którym nie smakował chleb niewoli i, — jak wyrażę się językiem sytych i zadowolonych — „romantyków“, „warjatów“, „przewrotowców“, o których się mówiło z pogardliwem wzruszeniem ramion.

Gdyby można było odgrzebać z pyłu zapomnienia tych wszystkich bezimiennych bohaterów, spoczywających po naszych miastach i siołach, wsłuchać się w szmery, dolatujące z za grobów, wniknąć w żywoty ciche a ofiarne, to napewno miłość i poświęcenie dla Ojczyzny i sprawy robotniczej rozpłomieniłoby niejedno zimne i samolubne serce, zachęcając je do naśladownictwa i wytrwania...

I my, robotnicy w Łodzi, posiadamy swoją Golgotę, gdzie spoczywają ci, którzy wypowiedzieli caratowi walkę na śmierć i życie.

W lasku konstantynowskim leży pochowanych 200 ludzi, bądź rozstrzelanych na miejscu przez sądy polowe, bądź straconych na ulicy Długiej i przywiezionych w skrzyniach nocą przez strażników więziennych.

Były leśniczy miejski p. Sosiński opowiadał mi szczegóły egzekucji sześciu członków Polskiej Partji Socjalistycznej, straconych w dniu 18 listopada roku 1907.

Byli to: Andrzej Kmicik, Józef Walczyk, Stefan Moszczyk, Ignacy Samek, Michał Stolarek i Józef Karwowski.

O godzinie 4-ej rano w kibitce więziennej, obitej płótnem, przywieziono do lasku skazańców. Pluton

żołnierzy z żandarmami, lekarzem, sądem polowym i oficerem na czele oczekiwał u leśniczego, zabawiając się żarcikami i zapijając monopolkę. Żołnierze otrzymali z funduszów ochrany po 2 ruble na głowę i razem dwa sztofy wódki.

Z amatorstwa przybył naczelnik więzienia Modzelewski i dozorca więzienia Jegorow, który zaczął się ze skazanych naigrawać i złorzeczyć im. Zniecierpliwiony prokurator zwrócił się do niego: „ostawtie ich“, co przywołało wojowniczego Jegorowa do porządku.

Skazani, otoczeni żołnierzami i pachołkami carskimi, posuwali się ku miejscu stracenia.

Twarze były blade, ale wyrażały stanowczość i siłę woli.

Na polance oficer zatrzymał skazanych i zapytał: „Nu czto wam, bojowcy, nużno pieried smiertiu?... papiroski ili wodki?“ Skazani po krótkim namyśle wyrazili życzenie śpiewu wspólnego.

Oficer zezwolił, i z ust straceńców popłynęła pieśń walki, krzywdy i zemsty:

„Krew naszą długo leją katy,
„Wciąż płyną gorzkie ludu łzy,
„Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
„Sędziami wtedy będziem my!“

Naczelnik ochrany nie wytrzymał i ryknął: „Małczat', padlecy!“

Pieśń, jak spłoszony ptak, zerwała się raptownie, a oficer gniewnie powiedział do satrapy: „Nie wasze dieło!“

Kmicika, którego ciało od tortur w biurze śledczem stanowiło jedną ranę, prowadzili współtowarzysze. Młodzieniec w uniformie ucznia łkał cicho...

Przed polanką żandarm zatrzymał się z księdzem, a skazańcy, ucałowawszy krzyż, ruszyli naprzód.

Na miejscu strażnik odmierzył miejsca na groby, żołnierze nasadzili bagnety, rozdano rydle, któremi skazańcy kopali własne groby...

Mgła poranna, opary z łąk otulały kopaczy, a wschodzące słońce oświetlało krwawo to straszne widowisko... Następnie przywiązano wszystkich postronkami do drzewa, a przy każdym stał żołdak z wymierzonym do pchnięcia bagnetem.

Oficer odczytał wyrok śmierci, żołnierze pijani ustawili się w szeregu i wtedy ciszę ranną przerwał potężny okrzyk z piersi skazanych: „Niech żyje Niepodległość i Socjalizm!“ „Precz z caratem!“

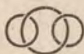
Pli!...

Posypało się kilka nierównych strzałów, po których czterech skazańców opuściło głowy, a dwóch w konwulsyjnych drgawkach przechyliło się ku ziemi.

Posypała się druga salwa, — i sprawiedliwości carskiej stało się zadość...

Po przecięciu postronków strażnicy wrzucili ciała do dołów, doły zrównali z ziemią, ażeby nawet śladu nie pozostało po carskich zbrodniach.

Chwasty zarastają miejsce kaźni, ludzie depczą po mogiłach, nie zastanawiając się nad tem, że leżą tam ci, którzy za klasę robotniczą życie złożyli w ofierze.



Z szeregu najdzielniejszych.

Okręg radomski od ostatniego powstania Styczniowego miał tradycje najbardziej rewolucyjne.

W roku 1863, przy współudziale rzemieślników radomskich stoczono bodaj największą ilość zwycięskich potyczek, słowem, Radom szczycił się zasłużenie swoją przeszłością.

Lata rewolucji roku 1906 miały przygotowane podłoże, wobec czego ruch rewolucyjny objął szerokie masy ludowe, a ilość śmiałych zamachów na pachołków carskich przewyższała (z wyjątkiem Warszawy) inne okręgi partyjne.

Duszą tych wszystkich zamachów na gruncie radomskim od roku 1905 do 1906 był tow. Korsak (Włoskowicz).

Wydalony za strejk szkolny z miejscowego gimnazjum, rzucił się w wir roboty spiskowej i organizacyjnej.

Brunet o twarzy śniadej, oczach południowca, entuzjasta, zawsze pełen wiary i energji w powodzenie licznych planów i projektów, któremi zasypywał wydział bojowy, był rewolucjonistą i pepesowcem z krwi i temperamentu.

Człowiek o nieustraszonej odwadze, wychodził z najniebezpieczniejszych opresyj obronną ręką, tak jak się zwykle zdarzało każdemu bojowcowi bez trwogi i lęku; towarzyszyło mu szczęście i powodzenie we wszelkiej akcji.

Początkowo w roku 1905 prowadził pracę agitacyjno-organizacyjną, będąc kierownikiem dwóch kół garbarskich, jednego ślusarskiego i jednego szewc-

kiego (z ostatniego wyszedł słynny bojowiec towarzysz W.).

Pod wpływem tow. Korsaka wszyscy towarzysze z wyżej wymienionych kół przeszli do organizacji bojowej.

W roku 1905, podczas strejku powszechnego, na rozkaz wydziału bojowego przerywa połączenie kolejowe, jak również telegraficzne i telefoniczne na szosie lubelskiej, warszawskiej i kieleckiej. Podczas odwrotu w nocy został przy ulicy Długiej osaczony przez dragonów i na wezwanie „ruki w wierch“ wyjął błyskawicznie browning i zaczął się odstrzeliwać, kładąc dwóch napastników trupem. Gnany przez kilku dragonów, odstrzeliwał się co chwila. Zdawało się, że tym razem nie uniknie śmierci, gdyż bramy wszystkich domów w porze nocnej były pozamykane, a z powodu stanu wojennego nie było na ulicy żywej duszy. Lecz matka tow. K., wiedząc w jakim celu syn poszedł na wyprawę, a przeczuwając z powodu rozlegających się strzałów nieszczęście syna, otworzyła bramę, w którą wpadł zmęczony i zdyszany z browningiem w ręce, ratując się od niechybnej śmierci. Tymczasem żołdacy w największem zdziwieniu przetrząsali z dwu stron ulicę, powtarzając ze złością: „propał czort!“

Drugi zamach wydział bojowy polecił dokonać tow. K. na wachmistrza żandarmów Kalinina, który, widząc naprzeciw idących trzech młodych ludzi, przeczuł widocznie, co się święci, i zamiast uciekać, rzucił się na jednego z bojowców, powalił pięścią na ziemię i, trzymając go pod sobą, wrzeszczał ile miał sił: „Karauł!“. Tow., widząc niebezpieczeństwo, strzelił wachmistrzowi w szczękę, tem uwolnił z żelaznych kleszczy przerażonego towarzysza, który nie mógł o własnych siłach ruszyć się z miejsca.

W tym samym roku kierował akcjami na kilkanaście monopoli i cztery poczty, gdzie skonfiskowano dość znaczne sumy. Z ważniejszych miejscowości wymieniam: Białobrzegi, Szydłowiec i Wrońsko.

W roku 1906 przy ulicy Nowogrodzkiej i Wysokiej w Radomiu zabija prowokatora Kwiatkowskiego.

Dnia 2 stycznia roku 1906 rzuca bombę na żandarmów. Ogłuszony i odrzucony siłą wybuchu, omal że nie dostał się w ręce policji. Żandarmi wyszli bez szwanku. Ponieważ w pobliżu było kilku przechodniów, tow. Korsak rzucił pocisk dalej, aniżeli należało.

W tymże roku rzuca bombę ze śmiertelnym rezultatem na „Czarnego Prystawa“, znanego satrapę na gruncie radomskim, który z zamiłowaniem torturował więźniów politycznych.

Po tym ostatnim zamachu, który zgładził ze świata najbardziej krwiożerczego tyrana radomskiego, nastąpiły masowe aresztowania wśród robotników. W ciągu jednej nocy aresztowano z górą 300 osób.

Ażeby jednak wykazać tężyznę organizacji, w ciągu jednego dnia rozbraja na czele jednej szóstki 16-tu strażników radomskich.

Rozkonspirowany na gruncie radomskim, zostaje przeniesiony na inspektora okręgowego do Włocławka. Po tygodniowym pobycie urządza zbrojny napad na pocztę w Osięcinach, gdzie zabito wachmistrza i młodszego strażnika.

Podczas akcji na pocztę w Kowalu poczta obstawiona była żołnierzami i strażnikami. Starszy strażnik, widząc sześciu młodych ludzi, zbliżył się do chaty, w której bojowcy zatrzymali się chwilowo, z zamiarem aresztowania. Wtem posypały się strzały i „burek“ został zabity na miejscu. Strzałami zaalarmowani zostali żołnierze, którzy, rozsypawszy się w tyraljerkę, zaatakowali cofający się oddziałek bojowców. Wywiązała się potyczka, trwająca dwie godziny; pod osłoną nocy udało się wycofać oddziałek bez strat. Odwrót osłaniał, podtrzymując strzelaninę, tow. Korsak. Wycofał się on z placówki ostatni.

Na skutek prowokacji udało się szpiclom ochrany ująć tow. Korsaka podczas snu w jednem z konspiracyjnych mieszkań we Włocławku.

Skonfrontowano go z „monopolszczykami“, pocztowcami i rozbrojonymi strażnikami, którzy poznali w nim kierownika akcji. Zdawało się, że tym razem nie uniknie stryczka, lecz los chciał widocznie inaczej. Obcując z dozorcą więziennym, strażnikiem Stępowskim, tak go przekonał i zjednał dla sprawy, że strażnik ten sam otwiera tow. K. podrobionym kluczem celę. Tow. K. przechodzi niepostrzeżenie około posterunku warty pierwszego piętra i tutaj pod schodami więziennemi przebiera się w dragońskie ubranie i najspokojniej mija posterunek, złożony z 15 dragonów, otwiera bramę, zamykając ją z zewnętrznej strony. Po „powierce“ wykryto ucieczkę; rozpoczęła się bezładna bieganina po podwórzu więziennem, i okazało się wreszcie, że warta i personel więzienny zostały zamknięte przez zbiega.

Przy pomocy z zewnątrz, gdy żołnierze i dozorcy wydostali się na ulicę, znaleźli niedaleko bramy więziennej ubranie dragońskie, porzucone przez tow. K. Pomimo szalonego pościgu ze strony policji i wojsk, udało się tow. K. szczęśliwie przedostać do Krakowa, gdzie kończy z odznaczeniem szkołę bojową. Stamtąd udaje się do Lwowa na kursa handlowe.

Po rozłamie staje po stronie lewicy P. P. S. i z „Andrzejem“, ówczesnym członkiem lewicowego C. K. R., wyjeżdża na objazd do Ameryki.

Zwołuje kilkadziesiąt zebrań, werwą i zapałem porywając masy. Pracuje jako zwyczajny robotnik w fabrykach metalurgicznych w różnych Stanach Ameryki, stamtąd wyjeżdża na IX Zjazd lewicy do kraju i odtąd osiada we Lwowie.

Aczkolwiek należy do sekcji lwowskiej lewicy P. P. S., sympatyzuje z kierunkiem „Placówki“, wydawanej przez tow. Kunowskiego, podkreślając na każdym kroku dążenia niepodległościowe. Pomimó lewicowego kierunku nie ma w sobie nic doktrynerskiego. Tow. K. reprezentował kierunek, który jest obecnie dominującym w P. P. S.

Wybuchła wojna. Tow. K. przeprowadza wśród lewicowców lwowskich uchwałę, że „wstępowanie do drużyn strzeleckich jest sprawą prywatną każdego członka“. W konsekwencji swego stanowiska niepodległościowego wstępuje do szeregów legjonowych, gdzie z brawurą odbywa prawie całą kampanję. W służbie wywiadowczej oddaje cenne usługi, otrzymuje rangę oficerską. Współtowarzysze legjonowi cenili go wysoko, ale i to prawda, że przez kretynizm i zawiść niektórych przełożonych spychany był zawsze do niższych funkcyj, które wykonywał jednak bez szemrania.

Spotkałem go przed dwoma laty, pełnego nadziei i wiary w zwycięstwo demokracji polskiej i obozu niepodległościowego. Gestykulując żywo, przekonywał tak trafnie i logicznie, że trudno było nie podzielać jego głębokiej wiary w przyszłość ludu polskiego. Wiedzę posiadał gruntowną, niepospolitą i usystematyzowaną, sąd jasny i przenikliwy. Natura to była żywa, szlachetna i entuzjastyczna, dobry jak dziecko, wesoły, a bardzo często rubaszny i swawolny. Szanując zawsze cudze zdanie, obejściem swojem chwytał za serce, dowcipem i humorem celował zawsze.

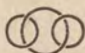
Na moją usilną prośbę przyrzekł opisać szczegółowo jedną z akcyj, która, obfitując w piętrzące się przeszkody, była dla mnie jak bajka z tysiąca i jednej nocy.

Był to zamach w październiku roku 1918 w Radomskiem, pod Bąkowcem, gdzie Austrjakom skonfiskowano miljon koron. Pomimo zaalarmowania dwóch pułków austrjackich i obsadzenia wszystkich dróg, pięciu peowiaków udało się szczęśliwie wycofać z opresji.

Przeżycia i przygody współtowarzyszy idei są dla mnie zawsze jak dawne sagi skandynawskie rycerskich Wikingów. Wierzę, że tylko tym granitowym postaciom, tym niespokojnym duchom zawdzięczamy, że lud polski nie stoczył się do rzędu helotów. Oni opromieniali nimbem uroku te męczeńskie drogi nasze; oni byli zapładniającym czyn-

nikiem w utworach „Młodej Polski“; oni byli budzicielami ducha wśród spodlonych niewolą; oni na ostrzach bagnetów nieśli światu ewangelję wyzwalającej się Polski; oni, Prometeusze — promieniści, ofiarni — nieśmiertelni, którzy byli jako promień słońca w stuletnich mrokach niewoli—dokonali swego, bo obudzili naród cały... Cześć im za to!

Niechaj wspomnienie o ludziach czynu będzie światłem, które dusze ogrzewa i hartuje, które jak czyste powietrze przenika atmosferę przesyconą miazmatami sobkostwa, filisterstwa, upodlenia i zgnilizny moralnej. Niechaj słabych krzepi, wątpiącym sił doda, a nielicznym, kroczącym po drodze życia na służbie poświęcenia i ideałów, pozwoli przenosić łatwiej prześladowania, a z brudów życia wychodzić zawsze czystymi, z czołem podniesionem.





Z dziejów łódzkiej prowokacji.

Śmierć Fremla.

Upadek ruchu rewolucyjnego w 1907 roku, wzrastające fale reakcji i dezorganizacja szeregów robotniczych, wydały cały szereg prowokatorów jak w Rosji tak i w Królestwie.

Jedni ratowali tym sposobem nędzne życie, inni czynili to ze strachu i tchórzostwa przed torturami, zadawanemi w biurach śledczych. Najsłynniejszymi prowokatorami na bruku łódzkim byli dwaj bracia Fremlowie, b. członkowie S. D. K. P. i L., z pochodzenia Niemcy, o wyglądzie odrażającym, twarzy nalanej, wydętych wargach, wypukłych ślepiach, o ryżych włosach znamionujących, stosownie do przysłowia ludowego, typowych Judaszów. Z zawodu byli przędzalnikami — jeden tak zwany „szrubownik“, drugi „przykręcacz“.

Początkowo pracowali w fabryce Wojdysławskiego. Ojciec ich był właścicielem restauracji. Wśród atmosfery, przesyconej pijaństwem i przekleństwami, wychowywali się Fremlowie. Wybuchła rewolucja, wstąpili do S. D. tak jak wszyscy robotnicy łódzcy pochodzenia niemieckiego, którym przypadał do gustu kosmopolityczny program esdecji.

W r. 1906, przemawiając na zebraniu, zapoznałem się z Fremlem, który przedstawił się jako przedstawiciel fabryki, oświadczając, że „pepesowcom przemawiać nie pozwoli“. Na skutek interwencji tow. Ł. pozwolono mi mówić, lecz podczas zebrania Fremel łamaną polszczyzną przerywał mi kilkakrotnie. W tymże roku przez zarząd łódzki esdecji młodszy Fremel został mianowany kierownikiem milicji partyjnej,

której zadanie polegało na zorganizowaniu samoobrony robotniczej i wyćwiczeniu robotników tej organizacji we władaniu bronią.

Znając najbardziej konspiracyjne skrytki partyjne, zapoznał się w tym czasie z naczelnikiem więzienia przy ulicy Długiej, Modzelewskim, znanym w Łodzi z tego, że ważył 11 pudów.

Fremel, jako zapalony hodowca gołębi, wymieniał nieraz rzadkie okazy opasłemu Modzelewskiemu, który dość zręcznie wyciągał szczegóły co do osób, pracujących w partjach, goszcząc go za to u siebie obficie, lub przegrywając z nim w karty (celowo) znaczne sumy.

Odtąd aresztowania masowe powtarzały się coraz częściej; nietylko aresztowano jednostki, lecz policja również odnajdowała ukryte składy broni i aresztowała nieraz całe konferencje dzielnicowe.

I dopiero wtedy, kiedy większość tych, których Fremlowie mogli się obawiać, znalazła się pod kluczem, wystąpili jawnie w otoczeniu żandarmów carskich jako agenci „ochrany“.

Nastał okres najstraszniejszych represyj na gruncie łódzkim. Ażeby zgnieść „czerwone niebezpieczeństwo“, niektóre administracje dostarczały list podejrzanych „ochranie“, która komunikowała je Fremlom, a ci ustawiali w szeregach steroryzowanych wojskiem i policją robotników i, wywołując zaznaczonych, bili, pastwiąc się nad nimi z wyszukanem okrucieństwem. Bito kolbami, rewolwerami lub nahajkami, zakończonemi ołowiem, przy akompanjamencie najordynarniejszych wyzwisk i przekleństw.

Aresztowane kobiety były odstawiane do prywatnego mieszkania Fremlów (w ucząstku), gdzie biciem, groźbą lub wódką wydobywano nowe denuncjacje. Rzadko która robotnica uniknęła zbezczeszczenia.

Jedną z takich ofiar, jako stałą informatorkę Fremlów, zastrzelono z wyroku partji przy ulicy św. Anny, a liczba ich była wielka, jak twierdzą denuncjowani robotnicy. Represje powyższe wywołały straszliwy

popłoch; z lękiem oczekiwano w każdej fabryce ukazania się karnej ekspedycji przy udziale Fremlów i pomniejszych prowokatorów.

Organizacje robotnicze wysilały się, ażeby usunąć tych wyrodków, lecz Fremlowie, wiedząc od zaufanych kobiet o przygotowaniach, z góry paraliżowali plany.

Jeden z nieudanych zamachów, organizowanych przez S. D. przy teatrze Wielkim (ul. Konstantynowska) nie udał się, ponieważ Fremel, poznawszy partyjną technikerkę, rzucił się na nią z czeredą szpicli i przerażoną niewiastę, u której znaleziono dwa browningi, zawlókł do swojej katowni. Zamach był trudny do wykonania jeszcze z tego powodu, że najdzielniejsi z bojowców i instruktorzy znaleźli się w więzieniu.

Przysłano do Łodzi Kaznakowa ze szczególnemi pełnomocnictwami do tłumienia „kramoły". Szubienica pracowała codziennie, tracono, obok zwykłych bandytów, ludzi pracy i idei.

Fremlowie, pewni siebie, urządzali znienacka wycieczki na miasto, występując coraz bezczelniej.

Raz, podczas jednej z podobnych wycieczek, Fremel (młodszy) zboczył do cukierni przy ulicy Zawadzkiej, gdzie właściciel, sam szpicel, gościł często swoich towarzyszów. Tu spotkał go jeden z pepesowców, pracownik biura K., który pod pozorem, że zaprasza go na większą bibkę, wyszedł na ulicę, by zawiadomić kogoś z partji o czekającym na niego Fremlu. Spotkał wtedy tow. S., który na gwałt rozpoczął poszukiwanie po mieście kogoś z „bronkiem". Natrafił wtedy na tow. „Henryka", bojowca P. P. S., który bez wahania zdecydował się na czyn zgładzenia prowokatora. Tow. „Henryk" zajął punkt obserwacyjny naprzeciw cukierni i czekał wyjścia Fremla. Po pewnym czasie wyszedł prowokator w towarzystwie p. K. Na rogu Zawadzkiej i Piotrkowskiej Fremel wstąpił do sklepu po papierosy; z chwili tej skorzystał K. i ulotnił się przezornie.

Do wychodzącego Fremla przy domu, gdzie się mieści „Neue Lodzer Zeitung“, trzymając browning w ręce, podszedł tow. Miller z następującemi słowami: „S..... synie, nadchodzi twój marny koniec, za krzywdy ludzkie!“ i wystrzelił do niego dwa razy. Fremel odruchowo chwycił się za pazuchę, gdzie miał schowany browning, i zaczął uciekać, ale upadł nawznak przy szynach tramwajowych.

Tow. „Henryk“ „dla pewności“, jak się wyraża, leżącemu już na ulicy wpakował kulę w szyję, która okazała się śmiertelną. Po spełnieniu czynu najspokojniej zmieszał się z tłumem. Tramwaje na ulicy Piotrkowskiej wstrzymano, miejsce zamachu otoczono kordonem wojska. Do Fremla, dającego słabe oznaki życia, przyjechał policmajster, któremu Fremel oświadczył słabym głosem, że nie wie, kto go zabił. Zanim przybyła pomoc lekarska, skonał marnie na ulicy. Tak się skończyła rola jednego z prowokatorów, który bezkarnie grasował dość długo.

Po śmierci odwieziono Fremla do trupiarni, gdzie robotnicy podczas oględzin zabitego, dając wyraz swej nienawiści, wbijali mu setki szpilek w ciało, co stwierdzono urzędownie podczas sekcji trupa.

Starszy Fremel, pełniąc funkcje kata, powiesił swego szwagra Kołduńskiego i około 120 ludzi. Potem wyjechał do Berlina, gdzie został w jakiejś knajpie ugodzony kuflem w szczękę przez jednego z emigrantów łódzkich.

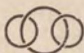
Podczas wojny obecnej pełnił przy armji niemieckiej funkcje szpiegowskie.

Przebywał jakiś czas w Kaliszu, potem na froncie ryskim, i odtąd ślad jego zaginął bez wieści.

Tow. „Henryk“, zabójca Fremla, służył w Łodzi w charakterze „pałkarza“, lecz, pomimo swej funkcji oddawał cenne usługi organizacji, informując o każdem znaczniejszem wystąpieniu Prusaków, wykradając z niemieckiego sądu wojennego ważne dokumenty.

W r. 1917 umieścił w jednym z numerów „Łodzianina“ „List Pałkarza“, który wywołał wielkie wrażenie w całem mieście ze względu na temat i fakty w nim podane.

Szczegóły te dotychczas były pokryte tajemnicą, podaję je w mniemaniu, że sprawi satysfakcję robotnikom łódzkim wiadomość, iż jednego z największych łotrów na gruncie łódzkim zgładziła mściwa dłoń, tak jak zawsze, pepesowca.





Z niedawnej przeszłości.

Zdala od kraju i swoich, wśród rozległych stepów orenburskich, wsłuchani w wycie jesiennego wichru, który z wściekłością uderzał o zabudowania kozackie, oczekiwaliśmy nadaremnie, z górą miesiąc już, listu lub wieści od drogich nam osób.

Trzech nas było zesłańców — pepeesowców.

W ciągu całego lata, pędząc życie koczownicze, pasłem (w braku innego zajęcia) stado koni. Zajęcie to wpłynęło na mnie pod względem zdrowotnym nadzwyczaj dodatnio. Wyczerpany organizm kilkomiesięcznem więzieniem, zagrożony gruźlicą, nabrał wśród stepów dziwnej tężyzny i mocy, a kuracja kumysem dokonała reszty...

Polowanie, rybołówstwo, konna jazda dla mnie, mieszczucha, przywykłego do zaduchu fabrycznego, były tak ponętne, że nieraz w duchu cieszyłem się z przeżywanych przygód, a nawet z samego zesłania...

Nieraz, kiedy w pełnym galopie urządzaliśmy szalony wyścig po równym jak stół stepie, zdawało się, jakoby skrzydła rosły mi u ramion, rozdęte nozdrza wciągały chciwie ożywcze powietrze, a charakter stawał się w tych warunkach zawadjackim i buńczucznym.

Zrozumiałem wtedy psychologję tych ludzi, wśród których rzuciły mnie losy.

Kozacy orenburscy, gościnni, dobroduszni, otwarci, choć nieokrzesani, budzili we mnie zdumienie i podziw zręcznością, siłą, fantazją i nadzwyczaj wesołem usposobieniem.

Pomimo złośliwej famy o stosunkach obyczajowych wśród kozaków, stwierdzić muszę, że nie było wypadku

kradzieży, napadu lub gwałtu. Obyczaje surowe, patrjarchalne, karały bez wyjątku swego lub obcego, który nie chciał się podporządkować obowiązującym prawom pisanym lub zwyczajowym.

Biada temu, kto zawiódł zaufanie tych ludzi, prostych i szczerych; wówczas stawali się bezlitośni...

Samowolę, odczuwaną tak bardzo na naszej skórze, uprawiali tylko wśród „inorodczego kraju", to jest byli barbarzyńcami na eksport. Wśród ziemi mlekiem i miodem płynącej, rodzącej piękną pszenicę, wśród lasów, pełnych zwierza, zarybionych jezior, nie płacąc podatków, korzystając z pełnego samorządu, wierni byli jak psy rządowi i carowi. Wyjątek stanowili młodzi kozacy, wysyłani do szkół Orenburga lub Czelabińska. Tam już „kramoła" zagnieździła się na dobre. Powracając podczas wakacji do domów, przerażali swoich ojców przekonaniami rewolucyjnemi, co usposabiało starszych wrogo do szkoły, a niejednemu, rwącemu się do wiedzy, przerywało z woli ojców naukę, która, jak się wyrażali pogardliwie, nie umiała wpoić miłości i wiernopoddaństwa w stosunku do cara. „K'czortu s takoj naukoj!" powtarzali z zaciętością.

Syn naszego gospodarza — atamana, „Sasza", przygotowujący się do zawodu oficerskiego, uczęszczał do gimnazjum rządowego w Orenburgu i tam miał sposobność zetknąć się z organizacją młodzieży socjalno-rewolucyjnej, która obejmowała wtedy w roku 1907 prawie większość zakładów naukowych Syberji.

Brak wieści z kraju i tęsknota doprowadzały nas nieraz do niezwykłego rozdrażnienia.

Bardzo często, ulegając autosuggestji lub złudzeniom, zrywaliśmy się w nocy z posłania, nasłuchując, czy to nie dzwonek „trojki" pocztowej; lecz był to tylko skutek przeczulenia rozprzężonych nostalgją nerwów. Pewnego ranka budzi nas towarzysz Mur (z Częstochowy), ściągając mnie bez ceremonji z posłania, i zawiadamia, że „poczta jedzie"! Zerwaliśmy się z towarzyszem Kostkiem (z Starachowic) na równe

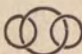
nogi. Po przybyciu listonosza każdy z nas ze zdziwieniem otrzymał dość ciężki list z przekazem 20-to rublowym, wysłanym z Orenburga.

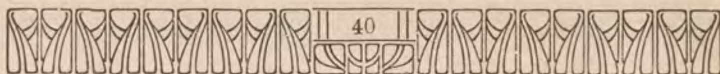
Po otworzeniu zagadkowej przesyłki wysypały się ze środka odezwy i wydawnictwa S.-R. z kartką następującej treści:

„Dorogim towaryszczam—stradalcam, czlenam Polskoj Socjalisticzeskoj Partji od socjal-rewolucjonnych uczenikow Orenburskoj gimnazji

Sasza.“

Ze wzruszenia głos mi uwiązł w gardle... Łzy stanęły w oczach... a hasło „Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!“, wyszydzane zawsze przez naszych wrogów, stało się nawet wśród dzikich stepów orenburskich, na dalekiem zesłaniu, czynnikiem braterstwa i zwiastunem zwycięstwa naszej sprawy...





Starym szlakiem.

W spiekły dzień czerwcowy, drogą, prowadzącą do przeznaczonego nam na zesłanie miejsca, wśród tumanów kurzu i pyłu, posuwała się nasza gromadka wygnańców, licząca 90 osób.

Wśród zesłańców rozbrzmiewały języki różnych narodów, gnębionych przez carat. Byli tam: Polacy, Litwini, Niemcy, Rosjanie, Łotysze, Żydzi, Ormianie i Gruzini. Pod względem politycznym byli tam: P. P. Sowcy, S.-Decy polscy, rosyjscy, łotewscy i niemieccy, Socjal-rewolucjoniści; z żydowskich grup rewolucyjnych: „Bundowcy“, „Socjal-Syjoniści“, „Poalej-Syjon“ i „Sejmowcy“. Polaków było 24-ch.

W każdej spotkanej po drodze wiosce zostawało pod opieką „wołostnego starszyny“ na stałe po kilku zesłańców; resztę gnano dalej. Eskortowało nas wtedy tylko 10-ciu kozaków, lecz ucieczka była ryzykowna, bo włościanie, obawiając się grożących w okolicy napadów, które z podszeptu urzędników przypisywano zesłańcom, chwytali już w następnej wsi zbiegów i zbitych oddawali w ręce „urjadników“.

Co pewien czas ktoś zasłabł w drodze, zostawiano go wtedy w najbliższej wsi, a my ruszaliśmy dalej...

Bardzo często chory, złożony gdzieś w szopie, konał cicho... nikt nie uronił łzy nad grobem niejednego idealisty, bo władze wśród ludności miejscowej starały się go przedstawić najczarniej, nawet po śmierci...

W nocy zamykano nas zwykle w pierwszej lepszej spotkanej stodole lub szopie, rozdzielano po 10 kop. na głowę; delegowani zakupywali we wsi produkty, po spożyciu których zasypialiśmy snem kamiennym.

Wrażliwość, stępiona w różnych norach etapowych, i ogrom ludzkiej niedoli sprawiały, że człowiek się przyzwyczaił do wszystkiego. Dziwny bezwład i bierność paraliżowały wolę, i jedynem pragnieniem każdego było jak najszybciej dostać się do miejsca przeznaczenia, a potem — mawialiśmy — odpoczniemy za wszystkie czasy... Eskortujący nas kozacy dosyć łagodnie obchodzili się z nami i ze stoickim spokojem znosili najostrzejsze wyzwiska na rząd i cara, wymawiane z specyficznem zacięciem przez rosyjskich towarzyszy. Może w duszy przyznawali nam słuszność, lub też bali się zaczepiać nas, ze względu na przeważającą liczebnie partję zesłańców. Wszyscy byliśmy skazani administracyjnie, na czas trwania stanu wojennego i wzmocnionej ochrony.

Posuwając się po drodze, prowadzącej do Woskresienska, wśród ciągnącego się po obu stronach brzozowego lasu, zauważyliśmy na kopcu wysokim krzyż jednoramienny.

Zdumieni tem zjawiskiem, zwłaszcza, że miejscowość była zamieszkana przez „starowierów“, zbliżyliśmy się z ciekawością do wysoko usypanego kopca, zarosłego zielskiem i trawą... Na krzyżu odcyfrowaliśmy z trudem wyrżnięty następujący napis:

> „Uczestnicy powstania 1863-go roku, zmarzli podczas zamieci śnieżnej w grudniu 1866 roku, w liczbie 56-ciu, proszą ziomków o westchnienie do Boga“.

Wszyscy, nie wyłączając eskortujących kozaków, odsłonili ze wzruszeniem głowy... A od mogiły, zapomnianej przez swoich i obcych, od pochylonego i próchniejącego już krzyża szedł do nas buntowniczy żar,

z za grobu, wzywający do pomsty, do walki z caratem na śmierć i życie, do krwawej rozprawy z tymi, którzy już piąte pokolenie polskie pędzą po tych samych drogach na głód, nędzę i poniewierkę...

Jeden z kozaków, chcąc przerwać grobowe milczenie, odezwał się niby z dobrodusznem objaśnieniem:

— „Zdieś pogibli polskije miatieżniki, no wsio taki żałko, christjanie!“

W odpowiedzi na to jeden z Rosjan (tow. Sałdienko), nauczyciel gimnazjalny z Charkowa, przemówił krótko, podkreślając współudział rosyjskich rewolucjonistów w powstaniu 1863 roku, stanowisko Hercena i jego pismo „Kołokoł“ w tym czasie, wskazując, że Polacy byli zawsze wzorem dla wszystkich bojowników o wolność, gdyż na sztandarach swoich już w roku 1830 podczas wojny rosyjsko-polskiej mieli wypisane szczytne hasło: „Za waszą i naszą wolność!“

— „Bracia — rzekł — przysięgnijmy na tym grobie: pohybel carowi i jego zgrai!“

— „Na pohybel! — wrzasnęło kilkadziesiąt głosów, i wszystkie ręce podniosły się w górę, ślubując wspólne zasady i hasła...

Kozacy usunęli się dyskretnie na bok...

Stałem, przejęty do głębi tym widokiem. Myśl cofnęła się do ciernistych lat martyrologji naszej, a w duszy brzmiały mi, jak dawne, słyszane w dzieciństwie echo, jak beznadziejny nokturn, słowa poety:

Ich mogił pełne są cmentarze
Aż od Jakuckich śnieżnych pól...
Zabiły jednych ręce wraże!
A innych nędza, rozpacz, ból...

Nas, robotników polskich z P. P. S. i S. D., pomimo różniących nas doktryn, zespolił uczuciowo i za-

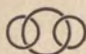
grzał serca do walki i wytrwania — testament, przekazany nam przez ojców z za grobu...

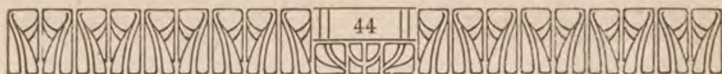
— — — — — — — — — — — — — — — —

Śpijcie spokojnie, poprzednicy nasi, dumni, nieprzejednani buntownicy polscy, których kości rozsiane są bezimiennie po całym Sybirze...

Ofiary wasze i krew, przelana za świętą sprawę wyzwolenia, pomszczona.

Sztandar buntu, zatknięty dłońmi rosyjskiego proletarjatu, powiewa dziś nad carskim pałacem, gwałtu i krzywdy siedzibą, którą zalały nareszcie krew i łzy gnębionych ludów...





Zgrzyty.

W cichej, spokojnej wiosce, zdala od gwaru i hałasu wielkomiejskiego, w chłodne południe listopadowe, które srebrzystym szronem szkliło się na dachach i szybach domów wsi X., odbywała się uroczystość mego wesela i ślubu. Rozlewna cichość, przerwana rozgwarem hałaśliwych i rozbawionych głosów, trzaskaniem batów, rżeniem koni, jakby przytłumiona tylko na chwilę czaiła się jednak w opłotkach pod słomianemi strzechami domów, aby po chwili znów posiąść smętną okolicę w swe niepodzielne panowanie. Bezlistne dęby i buki dokoła kościoła jakby z wyrzutem spoglądały ku niebu, że nielitościwa zima odarła je z powabu i krasy. Ostry i zimny wiatr rumienił rozbawione twarze.

*
* *

Uroczystość naszego ślubu odbyła się szybko, a ksiądz, sympatyczny i siwy staruszek, oznajmił nam, że niedługo wprowadzą do kościoła zwłoki znanego artysty malarza, który, przygnieciony bryczką przez spłoszone konie, zmarł tragicznie... Wiadomość ta, wobec okoliczności wypadku, zasmuciła nas przez to dziwne skojarzenie ślubu i śmierci... tym bardziej, że przesądni i złowróżbni snuli dla nas złe wróżby na przyszłość.

Machnąłem ręką na te krakania, lecz zaciekawiony, co to za malarz, powróciłem po chwili do kościoła, aby zasięgnąć bliższych informacyj.

W kościele ujrzałem w powodzi jarzących świec trumnę ze zwłokami Wojciecha Piechowskiego, którego

talent, oryginalność i swojskość budziły we mnie podziw i uwielbienie. Spazmatyczny płacz rodziny i kobiet wzruszył mnie do głębi...

*
* *

I mimowoli zaczęły się przesuwać przed oczyma duszy te barwne, tryskające werwą i życiem polskie typy, które zmarły wskrzeszał potęgą swego talentu. „Święcone“, „Oczepiny“, „Procesja“, „Chore dziecko“, „Gustaw“ i cały szereg obrazów religijnych, któremi zmarły za życia przyozdabiał świątynię. I jakież to ciosy życiowe skłoniły tego zdolnego artystę, aby za 40 rubli miesięcznie zgodził się objąć posadę u p. Dangla, aby dozorować robotników przy plantacji buraków?...

*
* *

Gdzież są ci słynni mecenasi sztuki polskiej? Gdzież byli szanowni dobrodzieje i luminarze nasi, którzy pozwolili, aby taki talent marniał w twardem borykaniu się o kawałek chleba?

Mimowoli uporczywie nasuwało mi się na myśl: zapewne brakowało mu wszechwładnej i przemożnej protekcji, szerokich pleców, mocnych łokci i... giętkiego karku!...

Niejeden talent zgaśnie i zmarnieje wśród nas, zanim nastaną błogie czasy, w których każdy wedle sił i zdolności będzie mógł się rozwijać na pożytek sztuki ojczystej.

A w dzisiejszych czasach „trzeba umrzeć, żeby żyć“.

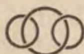
Wojciech Piechowski doczekał się również pośmiertnej wystawy swoich dzieł w „Zachęcie“ warszawskiej, a krytyka, jak zwykle w takich razach, wygrzebała go z pyłu zapomnienia, rozpisując sążniste peany o jego płótnach. Tylko, niestety, trochę za późno... Smutnie się plecie na tym Bożym świecie!...

*
* *

Minął rok... znów byłem w X. Poszedłem na skromny cmentarz wioskowy, położony na skraju wsi w cichem ustroniu wśród brzóz i akacji, odwiedzić grób Piechowskiego.

Zamiast spodziewanego pomnika, widomego znaku pamięci żyjących braci lub przyjaciół, zastałem grób zaniedbany, opuszczony, a blaszana tabliczka wskazywała, że tu spoczywają szczątki artysty... I znów nasunęło mi się gryzące pytanie: dlaczego?...

Gdzie bracia?... koledzy?... rodzina?... Tylko wicher szyderczo zawiał; zgrzytem przypomniał, że wszystko na tym świecie przemija, a szczególniej zmienna i zawodna jest przyjaźń ludzka: „Za życia jeść nie dadzą — po śmierci kadzą!“



Wspomnienia z emigracji.

„Francja!“ ileż to słowo w mych latach młodzieńczych budziło myśli i rojeń, ile podziwu i zachwytu nad zwycięską Rewolucją, która zarzewie buntu roznieciła wszędzie i ogłosiła zmurszałemu światu deklarację praw człowieka... A potężne dźwięki „Marsyljanki“, które nieraz w chwilach zwątpienia jak radosna pobudka bojowa wzywały na święty bój o wolność i prawa, budziły mi zawsze w wyobraźni obraz kraju tego jako gniazda buntu i wiecznie odradzających się idej, przenikających świat cały.

Gdyby tak można zwiedzić ten piękny zakątek świata, poznać tych ludzi żywych, gorących, o orlej duszy! myślałem nieraz przy pracy, pochylony nad warsztatem tkackim. Lecz marzenia zdawały się niedościgłe, bo rzeczywistość kazała pracować ciężko na kawałek chleba i skazywała na wieczne przykucie do znojnej pracy. Ażeby choć w wyobraźni powetować sobie niemożność podróżowania, wchłaniałem z chciwością opisy krajów, ludów, a najbardziej podobały mi się książki historyczne o Francji.

Tymczasem po porażkach caratu na polach Mandżurji rewolucja zbliżała się do nas bardzo szybko, a walka rewolucyjna, znana mi z teorji i opowieści książkowych, rozpoczęła się na bruku łódzkim w całej swej grozie. Wybuchły pamiętne dni barykadowe w Łodzi w lipcu roku 1905, powtórzyły się sceny znane z historji komuny paryskiej: gwałty żołdactwa, rabunki, rozstrzeliwania na ulicach, pogromy mieszkańców i walka bezbronnego ludu z przemocą wroga. Następnie wypadki potoczyły się już tak szybko, że

wir ich pociągnął mnie do więzienia... a potem na zesłanie...

Z zesłania zbiegłem do kraju, a potem, prześladowany przez „ochranę“, dostałem się do Paryża, gdzie przez biuro pośrednictwa pracy zostałem wysłany do fabryki wagonów w Lunevillu.

Marzenia moje zostały spełnione. Choć bieda dawała mi się we znaki, jednak wierzyłem, że lud francuski jest wulkanem rewolucyjnym, który tak jak ongi da sygnał wybuchu całemu światu.

Lecz przyglądając się bacznie stosunkom, musiałem się wyrzec wielu złudzeń. W Paryżu spotkałem rosyjskich rewolucjonistów z uniwersyteckiem wykształceniem, czyszczących szyby wystawowe i latarnie. Praca ta była zmonopolizowana przez Rosjan i dawała zatrudnienie 600 ludziom.

Inni cierpieli najokropniejszą nędzę, wielu kończyło samobójstwem. Pomoc francuskich towarzyszy była nieznaczna.

Będąc silnie zbudowanym, dostałem prawie że najcięższą pracę (t. j. taką, jak wszyscy Polacy zagranicą) w fabryce żelaza. W ciągu dziewięciu godzin dziennie waliłem młotem tak siarczyście, że zyskiwałem pochwałę nawet zbyt wymagających dozorców.

Początkowo starałem się dowiedzieć o zorganizowanych towarzyszach. Okazało się, że w fabryce na 3000 robotników, 400 należy do Syndykatu Pracy, z tego 60 opłaca składki, reszta mocnym frazesem starała się zastąpić obowiązki członków.

W rozmowach przekonałem się, że robotnicy wiedzieli tyle o Polakach, co ja o plemionach w Honolulu. Uświadomienie klasowe i rewolucyjne było nader słabe.

Twarda rzeczywistość rozwiała moje złudzenia i okazała mi, że wszędzie trzeba mozolnie przygotowywać grunt wśród mas, ażeby praca wydała plon obfity.

Do nas odnoszono się jak do intruzów, którzy rdzennym Francuzom robotnikom odbierają kawałek chleba.

Stosunki polityczne były inne, aniżeli u nas pod caratem; jednakże samowola prefektów policyjnych przypominała żywo satrapów carskich. Władzę posiadali dość szeroką i tłumili wszelkie objawy niezadowolenia i buntu, a nasi emigranci musieli siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą, bo w przeciwnym razie energiczniejszym grożono natychmiastowem wysiedleniem z miasta i państwa. Pomimo republikańskiej formy rządu, ster władzy dzierżyli bankierzy i kapitaliści, których robotnicy żartobliwie w stosunku do dwóch liter urzędowych „Republique Française“ nazywali „Rotschild Freres“.

Zbliżał się dzień 1-go maja. Pamiętając, w jaki sposób świętował proletarjat polski dzień ten w latach rewolucji, spodziewałem się, że tutaj nastąpi objaw siły rewolucyjnego proletarjatu francuskiego, tem bardziej, że korzystano z wolności słowa i zebrań.

W przeddzień święta majowego administracja fabryczna rozlepiła ogłoszenie, że nieprzybycie w dniu tym do zajęcia pociąga natychmiastową utratę pracy.

Nadszedł dzień 1 maja. Robotnicy stanęli do pracy, a mnie wściekłość porywała na tych wszystkich, którzy tak niewolniczo chodzą w jarzmie kapitału, z niecierpliwością więc czekałem wieczora, młot palił mi dłonie i zdawało mi się, że popełniam przestępstwo, pracując w święto proletarjackie. Wieczorem miejscowy Syndykat pracy (związek zawodowy) zwołał zebranie majowe z referatem „Święto majowe a proletarjat“, no i na tem koniec. Cała rewolucyjność towarzyszów francuskich wyładowała się w różnych winiarniach, gdzie piorunowano na burżujów, śpiewając „Carmognole“. Po przybyciu do mieszkania trzej moi współlokatorzy — bojowcy warszawscy — klęli na czem świat stoi (ze specyficznem zacięciem) na niedołęstwo i pustą frazeologję towarzyszy francuskich. Ażeby dać upust energji, wywiesiliśmy na strychu w sąsiednim domu, gdzie mieszkał właściciel, zagorzały bonapartysta, czerwony sztandar z inicjałami P. P. S., potem powróciliśmy do siebie i po przyjacielskiej

pogawędce, rozmarzeni grzanem winem, którego w dniu tym nie żałowaliśmy sobie, śpiewaliśmy „Czerwonego“, „Warszawiankę“, „Na barykady“ i t. p.

Po chwili przychodzi rozwścieczony gospodarz, wrzeszcząc i wymachując rękoma: „Nom de chien, fermez vos gueles, on n'est pas la Russie!“ („Do pioruna! zamknijcie pyski, tu nie Rosja!“).

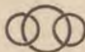
Było to iskrą do wybuchu, i gospodarz, kopnięty w... plecy przez jednego z towarzyszy, wyleciał z pokoju jak z procy na korytarz.

Nazajutrz zastaliśmy drzwi naszego mieszkania zamknięte, a karta wypisana na drzwiach, głosiła dosłownie:

„Pour les bandits russes, revolutionnaires et avanturiens il n'y a pas de place dans mon logement. Après avoir payé 30 francs on peut reprendre les effets chez le concierge.“ („Dla bandytów rosyjskich, wywrotowców, awanturników niema w mym domu mieszkania! Po zapłaceniu długu 30 franków, rzeczy można odebrać u odźwiernego“).

— To kanalja! — zawyrokował jeden z towarzyszy.

— Pal go djabli! — rzekł drugi — ale jednak dostał takiego kopniaka w... plecy, że mu sam djabeł nie odbierze. Niech wie, że polskim rewolucjonistom w dniu 1 maja bezkarnie ubliżać nie wolno!



Na obczyźnie.

Dzisiaj, kiedy od przeżytych chwil na obczyźnie dzielą mnie lata, to jednak nieraz na samo wspomnienie tej przeszłości pięść się zaciska; dziwna gorycz ciśnie się do ust i szczerą niechęć odczuwa się względem tych, którzy na zjazdach wszechświatowych operowali frazesem międzynarodowej solidarności, u siebie zaś w domu byli egoistami w całem znaczeniu tego słowa. Niejedni powiedzą, że to ci, którzy, zarażeni hasłami nacjonalistycznemi, zapomnieli o wielkich wskazaniach ludzkości, lecz, niestety, rzeczywiście bratnie duchy spotykałem tylko wśród sekciarzy religijnych, którzy w imię wyznawanych przez siebie zasad uznawali nawet w ciemnym chłopie polskim „brata w Chrystusie" (Apostolenbund - Mannheim). Robotnicy polscy, czując wokół siebie wrogi nastrój, garnęli się do wyłącznie narodowych stowarzyszeń, zakładanych przez księży z Galicji. Robotnicy ci byli obojętni na wpływy niemieckich organizacyj zawodowych i socjalistycznych.

Jedni z robotników niemieckich uważali robotników polskich za motłoch, łamistrajków, za polskich kulisów, obniżających płacę miejscowych robotników (co, przyznać muszę, zdarzało się nieraz). Inni usiłowali germanizować mało kulturalnych Polaków, co się również udawało (szczególnie przy zawieraniu małżeństw z Niemkami). Słowem, że brak było Polakom tej pomocy, jakiej należałoby się spodziewać od towarzyszów wspólnej sprawy. Po ucieczce z Syberji w r. 1907 dostałem się do Ludwigshafen w Nadrenji, gdzie była jedna z największych w świecie fabryk aniliny (Anilin- und Soda-Fabrik), zatrudniająca kilka tysięcy robotników. Robotnicy niemieccy stronili

od tej fabryki, nazywając ją żywym cmentarzem (Lebendiger Kirchhof). Z robotników Niemców przyjmował pracę tylko ten, kogo głód lub brak innego zajęcia zmuszał do tego, natomiast Polaków było zawsze zatrudnionych setki. Przy zabójczych gazach i kwasach, gdzie Niemiec tygodnia nie wytrzymał, pracował polski Wojtek, Bartek lub Maciek nieraz dwa lub trzy lata, dopóki z uciułanym groszem lecz starganem zdrowiem nie odwieziono go jako „uciążliwego cudzoziemca“ (Lästiger Ausländer) do granicy. W fabryce istniał związek robotniczy, którego członkowie otrzymywali jednak wygodniejszą i zdrowszą pracę, nie troszcząc się wcale o Polaków, pogardliwie nazywanych „Polacken“ lub „Slabaken“. Stosunki te burzyły we mnie krew, więc ażeby zorganizować żywioł dosyć ciemny i podnieść poczucie godności ludzkiej, założyliśmy „Sokoła“ i sekcję P. P. S. Za pośrednictwem tych instytucyj rozpoczęliśmy pracę kulturalną i oświatową, w której pomagali nam gorliwie studenci politechniki w Karlsruhe. Znając dość dobrze język niemiecki (jako łodzianin), interwenjowałem i w sprawach moich ziomków w wielu wypadkach, służąc za tłumacza podczas sporów i zatargów. Bardzo często mocną pięścią, wymierzoną arogantowi Niemcowi, zdobywałem należny szacunek dla Polaków, — pięść była argumentem niezawodnym. Pracę, tak jak wszyscy Polacy, otrzymałem ciężką i zabójczą. Przy wydobywaniu sproszkowanej farby zakładano mi hełm na głowę i, pompując powietrze, przypatrywano się z boku mym czynnościom.

Aczkolwiek należałem do silniejszych, praca ta jednak rujnowała mi zdrowie. Jednakże, będąc gorliwie poszukiwanym przez carskich siepaczów w kraju, zmuszony byłem z konieczności do pozostawania na miejscu. O ile przypominam sobie, w ciągu dwóch lat ilość chorych w fabryce wynosiła zawsze od 40 do 60%. Wypadkom, oparzeniom, zatruciom podlegało około 40% zatrudnionych Polaków, których, po wyleczeniu w szpitalu, usuwano bezwzględnie od pracy.

Robotnicy polscy byli za nawiasem prawa, gdyż umowy rosyjsko-niemieckie nie gwarantowały Polakom tych korzyści, jakie poczyniły w interesie swoich obywateli inne państwa. Byliśmy zatem prawdziwymi niewolnikami.

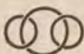
„Robotnik nie ma ojczyzny!“. „Dążenie do państwowości polskiej to przeżytki drobnomieszczańskie!“ „Gdzie mi dobrze — tam ojczyzna!“ głosili nieraz w kraju esdecy. Tymczasem ile westchnień, ile myśli, pełnych tęsknoty, płynęło do tych naszych pól i lasów, nawet do tej zadymionej Łodzi, „gdzie każda ulica przypomina ślady, gdzie dumnie błysły pierwsze barykady.“

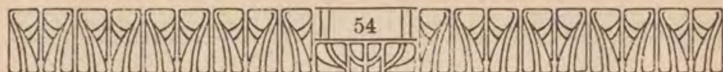
Twierdzenie kosmopolityczne okazało się doktryną bez życia i treści...

Raz podczas pracy zostałem poparzony dość ciężko, razem z jednym Włochem z Turynu i Austrjakiem z Gracu. Odwieziono nas do szpitala. Po kilku miesiącach kuracji wyszliśmy z lecznicy i udaliśmy się w trójkę do Mannheimu, do urzędu państwowego po odszkodowanie. Wywołano Włocha, wypłacono mu jednorazowo 5000 marek, które skwapliwie zgarnął do kieszeni z radością w oczach, że wyjedzie na zawsze z tego piekła do swojej pięknej słonecznej Italji.

Austrjak otrzymał 3500 marek, które przyjął z szemraniem. Kiedy na mnie przyszła kolej, spodziewałem się jako najbardziej poparzony otrzymać najwięcej.

Tymczasem oświadczono mi, że jako poddany rosyjski do zapomogi nie mam prawa... Mogę dostać 40% rentę dożywotnią, ale tylko wtedy, jeżeli pozostanę w obrębie Niemiec. Wobec takiego bezprawia oniemiałem, nogi ugięły się pode mną, usta wyrzuciły przekleństwo, i wtedy dopiero jako proletarjusz odczułem na swojej skórze potrzebę własnego państwa, które jedynie swoich obywateli uchronić może na szerokim świecie od niesprawiedliwości i gwałtów.





Z krwawych dni.

(Z czasów oblężenia Łodzi).

Na kolejce Łódź-Konstantynów popłoch i ścisk niebywały. Kto się dostał do pociągu, należał do szczęśliwych; inni na stopniach wagonu, na buforach chwytali się przepełnionego pociągu, aby dalej... Szosa była zapełniona wozami, wózkami ręcznemi, zawalona rupieciami i padłemi od wysiłku końmi.

A w tym piekielnym chaosie posuwał się oszalały z trwogi i strachu kilkutysięczny tłum, z tobołkami na plecach, długim i posępnym sznurem, popychając się wzajemnie, klnąc, złorzecząc lub zanosząc się spazmatycznym płaczem.

Potężny huk armat, echo pękających na ulicach granatów i łuny pożarów, które wieńcem ognistym otaczały Łódź całą, wskazywały, że wojna już blisko...

— Co będzie? — pytano trwożliwie, i stosownie do orjentacji, szukano odpowiedzi na niepokojące pytania, które, jak muchy natrętne, obsiadały i niepokoiły serca mieszczuchów.

Wojna, rozgrywająca się dotychczas zdala, bawiła niektórych; nadrabiali miną, snując fantastyczne plany na temat przyszłości lub budowali zamki na lodzie, conto odezwy wielkoksiążęcej...

Generał wojskowy Charpentier wydawał uspokajające odezwy do mieszkańców, lecz im więcej rannych napływało do miasta, tem bardziej niepokój wzrastał.

Ranni, jak gońcy nieszczęścia, opowiadali krwawe swe dzieje, żebrząc na ulicach i po sklepach.

— Sudar, pomiłuj gołodnaho sołdata!... — słyszano prawie na każdym kroku.

Było to świadectwem przysłowiowej uczciwości „naczalstwa“.

Wszystkie lokale zapełnione były rannymi, których widok przedstawiał wprost dantejski obraz. Obsługa wojskowa i zwerbowani ad hoc sanitarjusze i sanitarjuszki nie mogli podołać przybywającym wciąż setkom rannych, którzy, złożeni na podłodze, konali cicho. Za co?...

— Za waniuszczuju Polszu! — odpowiadali ranni Moskale.

Nie zapomnę też nigdy jednego widoku.

W teatrze Wielkim, przed jaskrawo pomalowaną kurtyną, w lożach, w fotelach, krzesłach i przejściach siedzieli i leżeli ciężko ranni, których jęki, jak złośliwa orkiestra, napełniały cały teatr jednym przeciągłym:

— O! o! o! o! o! o!...

Zdawało się, że za chwilę kurtyna się podniesie i stanie się jakieś czarodziejskie misterjum, coś niezwykłego a potężnego. I jakby w oczekiwaniu siedziało to straszne audytorjum, czekając chyba zmiłowania Bożego...

Co chwila ciężkiemi wozami fabrycznemi odwożono z różnych stron miasta, jak kłody drzewa, zmarłych od ran lub zabitych żołnierzy, nagich, przykrytych białem tylko płótnem; niektórym wyglądały okrwawione części ciała...

W kościołach odprawiały się błagalne suplikacje... Lud kajał się, zanosząc pod niebiosa modły:

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie!...

Głód dawał się we znaki nawet zamożnym.

Przed piekarniami wystawały długie szeregi — lecz napróżno, gdyż wypiek chleba zarekwirowali „nasi“.

Gdy żołnierz rosyjski padał z głodu, intendenci sprzedawali za pośrednictwem „kaptynarmusów“ chleb na ulicach wagonami, a kaszy sprzedawano setki pudów miejscowym handlarzom.

„Rosija wielika i obilna, a porjadka w niej niet“, mówili bojarowie, wysłani z poselstwem do księcia Riurika, i dziś, po 1000 z górą latach, kubek w kubek można to było zastosować do wielkorządców Rosji.

Służba kolejki otrzymała krótki rozkaz: „Kolejka pozostaje pod zarządem wojskowym, mamy przewozić rannych z pozycji bojowej tramwajami, do Łodzi; w razie ucieczki rozstrzelanie“... No, i zaczęła się z konieczności piekielna służba; administracja wyższa pouciekała ze strachu, zostali nieliczni... no i my...

Wagon tramwajowy z pogaszonemi światłami posuwał się chyłkiem nocą przez okolicę, która gorzała krwawo, roztaczając purpurową łunę na ciemnem niebie; trzask karabinów maszynowych, ponury bas ciężkiej artylerji, ustawionej przy remizie konstantynowskiej, i zajadłe szczekanie lekkiej artylerji na przedmieściu Konstantynowa, urozmaicało naszą drogę; czasem pękający szrapnel przed pociągiem oświetlił usłużnie linję, ale na szczęście żaden z nich nie ugodził w przewodnik tramwajowy.

Moskale szafowali rozrzutnie materjałem ludzkim i dostarczali nam na pociągi setki rannych, których z pomocą pociągów miejskich odwoziliśmy do szpitali łódzkich.

W pociągu leżeli jeden na drugim, a krew ściekała strugą po podłodze. Zaiste był to widok, kiedy strasznie okaleczeni, wyciągali skrwawione ręce, wołając:

— „Sudar, pomiłuj! ja tri dnia na pozicji niczewo nie jeł... kusoczek chleba“.

Jedyne moje pożywienie, kawałek razowego chleba, rozłamywałem i dzieliłem się z nimi. Łapczywie, prawie że połykali całe kęsy.

Większość rannych piotrogrodzkiego, wołyńskiego i kegsholmskiego pułku byli to Polacy, rezerwiści warszawscy, którzy, klnąc ze szczególnem zacięciem na „porządki moskiewskie“, dawali w ten sposób ujście swym cierpieniom.

W Konstantynowie dyktatorem był pułkownik X., który wszystkich schwytanych po domach kazał rozstrzeliwać na pobliskich placach, jako szpiegów.

Była to bestja krwiożercza, bez cienia litości i współczucia. Nie ogłaszał żadnych rozporządzeń o ewakuacji Konstantynowa, a kto został na miejscu, to „szpion“. Po kilka dni poniewierały się na placach miejscowych trupy Bogu ducha winnych miejscowych tkaczy, którzy z twarzą na ziemi, opuchnięci, wyglądali okropnie.

Sanitarjusze, „kaszewary“ i maruderzy różnego gatunku „gulali“ po Konstantynowie jak się patrzy.

Wszystkie sklepy i domy zostały zrabowane, a czego nie zrabowano, to wywieziono karetkami sanitarnemi do Łodzi; z fabryk miejscowych wywieziono całe stosy towarów. Kościół usiłowano zrabować w oczach miejscowego księdza. Dopuszczano się gwałtów bezecnych, włamań i pospolitych morderstw. Nieraz ranni mieli pod szynelem po 5 garniturów. Na pozycji rowy strzeleckie były zapełnione butelkami, pierzynami i materjałem różnego gatunku.

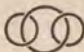
Codziennie granaty wyły, celując w wieże kościelne, na których umieszczone były punkty obserwacyjne rosyjskiej artylerji.

Po kilku dniach runął kościół ewangelicki, a po dwóch tygodniach kościół katolicki, jako ofiary posterunków wojskowych, a następnie całe pół miasteczka legło w gruzach...

Po powrocie mieszkańców miasteczko, w trzech czwartych częściach spalone i zniszczone, przedstawiało smutny obraz.

Oto tragedja miasteczka, założonego w r. 1816 przez Mikołaja Krzywca Okołowicza, które w 1831 r. uległo już raz podobnemu losowi.

Dziś groza wojny wyziera z każdej ulicy i domu, a zgliszcza i głębokie brózdy od granatów wskazują, jak zaciekłe odbywały się tu walki.



Z więziennych wspomnień.

W zamku lubelskim, który pamiętał świetne dzieje Rzeczypospolitej, w murach, dźwigniętych za króla Kazimierza, pomiędzy któremi wznosi się sławna strażnica-baszta zamkowa z widokiem na okoliczne dalekie łany, odbywaliśmy w roku 1918 karę więzienną.

Mnie oskarżono o zbrodnię obrazy „majestatu", o kierownictwo akcją chełmską i t. p. przestępstwa.

„Bracia" Czesi w charakterze różnych poganiaczy austrjackich kluczników i profosów tak nam więźniom politycznym dali się we znaki, że słowo „Czech" w więzieniu identyfikowaliśmy z czemś brutalnem i obmierzłem.

W rozmowie zwykle Czesi urągali Austrjakom, lecz, kiedy ktoś z naiwnych wywnętrzył się szczerze i żądał potem jakiejkolwiek pomocy, otrzymał odpowiedź odmowną i wciągnięty był na skutek stosownej denuncjacji na czarną listę w kancelarji więziennej jako „gefährlicher Verbrecher" (niebezpieczny przestępca).

Wreszcie okradanie i nieludzkie traktowanie więźniów politycznych przez „braci Słowian" doszło do takiego stopnia, że zmuszeni byliśmy rozpocząć głodówkę.

Zawiadomiliśmy telefonem więziennym wszystkie cele, w których odbywali karę polityczni, i rozpoczęliśmy trudną walkę.

Rano o oznaczonej godzinie zabrzmiał śpiew „Czerwony Sztandar", zadrżały mury od głosów, które, odbijając się echem, popłynęły w świat zwiastować tym

wszystkim, pogodzonym z jarzmem austrjackiem i niewolą, że „Młoda Polska“ nawet w więzieniu nie wyrzeka się walki o swoje słuszne prawa.

Czuliśmy, że dziwna moc i wiara wstępuje w nasze dusze i unosi nas ponad te grube średniowieczne mury do słonecznej krainy wolności.

Śpiew przerwał brutalnie „brat Czech“, wrzeszcząc przeraźliwie:

— Zawrzyjcie guby, sakramenckie kluki!

— Polub nas w nos! — odpowiedzieliśmy chórem.

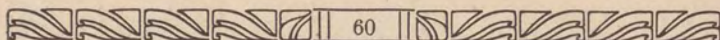
Na takie dictum zatrzasnął z przekleństwem drzwi i po chwili czereda czeska wkroczyła do naszej celi, lżąc nas prawdziwie po słowiańsku.

Mimo szykan, których nam nie szczędzono, po czterodniowej głodówce uzyskaliśmy w zupełności żądane warunki. Większość jednak na skutek osłabienia odesłano do szpitala.

A byli wśród czeskich żołnierzy zwolennicy Klofacza, Sviny, Stranka, Massaryka, którzy swój rzekomy radykalizm umieli doskonale pogodzić z bezwzględnem tępieniem polskości i niepodległości w naszym kraju.

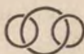
Najbardziej zbici i torturowani więźniowie przybywali do nas po proteście chełmskim wprost z czecho-żandarmskich łap oprawczych. Pachołek, czy urzędnik czeski w kraju naszym znany był z chciwości i łapownictwa szeroko i daleko. Niewolniczo i posłusznie wykonywali wszelkie zarządzenia austrjackich władz okupacyjnych, a w nagrodę za to „sakramencka“ Austrja tuczyła ich naszą krzywdą sowicie.

Wówczas przekonaliśmy się dobitnie, co to znaczy „solidarność słowiańska“, że jest to tylko dążność czeskiej plutokracji do ekspansji, do aneksji, do poszukiwania nowych rynków zbytu wśród pobratymców, których łatwo okpić i oszukać, usypiając jednocześnie frazesami wszechsłowiańskości. Z tego punktu widzenia zrozumiałą jest ta chciwość i łapczywość



na cudze: Dlatego na lep frazesów Kramarzowsko-Puryszkiewiczowskich dali się złapać tylko naiwni, lub głupcy...

W okupacji austrjackiej „solidarność słowiańska" zaznaczała się dobitnie u klucznika czeskiego więziennego, żandarma czeskiego: gnębiciela ruchu niepodległościowego, a obecnie zaznacza się wśród zbójów czeskich i rabusiów państwowych, dybiących na nasz Śląsk Cieszyński. Nie masz to, jak solidarność słowiańska: „Hej Slovane"!



Dziwy.

Wieść o oderwaniu Chełmszczyzny przez traktat brzeski spadła jak grom na staropolski gród kresowy, Lublin. Przyjęto też ten bezecny czyn rozdarcia żywego ciała polskiego w sposób odpowiedni: wrogo i rewolucyjnie... Rada Miejska postanowiła zerwać wszelkie stosunki z okupantami, proletarjat lubelski w jednodniowym strajku zaprotestował przeciw gwałtowi.

Podczas demonstracyjnego pochodu niesiono na tyczkach portrety dwóch łupieżców, Hohenzollerna i Habsburga, z wykłutemi oczyma. Na placu, przy okrzykach, pełnych nienawiści i szału, urządzono portretom „autodafé". W kinematografie „Polonia" zdemolowano całkowicie urządzenie, w starciu zaś z rozwydrzonem żołdactwem i oficerami polała się krew robotnicza.

Nastrój ludności pełen był nienawiści do najeźdźców i żądzy orężnej rozprawy z Austrją, która za zboże i świnie oddała na pastwę hajdamakom ziemię polską, zbroczoną krwią i łzami.

Taki nastrój panował w ów dzień...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wieczorem dnia tego zebraliśmy się na seans u ob. O., jednego z wybitnych działaczy postępowo-niepodległościowych, na zaproszenie profesora literatury Narskiego, amatora — hypnotyzera i badacza zjawisk medjumicznych. Medjum tego wieczora była żona p. O., z pochodzenia Francuzka, istota nadzwyczaj wrażliwa i subtelna, która już po kilku minutach manipulacji prof. N. nad jej głową — zapadała w głęboki sen hypnotyczny.

Osobiście odnosiłem się zawsze dość sceptycznie do tego rodzaju seansów, nie spodziewając się nad-

zwyczajnych cudów. Przytem dnia tego byliśmy wszyscy tak przejęci myślą o tym wschodnim szmacie ziemi, który nam przemoc obca wydarła...

Mieszkanie, w którem odbywał się seans, doskonale nadawało się jako tło tajemnicze i mistyczne naszego posiedzenia. W półmroku postacie nasze były podobne do cieniów.

Po uśpieniu pani O. prof. Narski głosem silnym i dobitnym zadał kilka pytań, dotyczących b. gen.-gubernatora lubelskiego, hr. Szeptyckiego, „co myśli obecnie i gdzie przebywa?“ Pani O. dźwięcznym głosem o akcencie południowo-francuskim odpowiadała na pytanie, gładząc przytem włosy, co było charakterystycznem przyzwyczajeniem generała podczas rozmowy.

Następnie ja z kolei zadałem pani O. pytanie, w celu przekonania się o prawdziwości tych nadprzyrodzonych zjawisk: „co się dzieje w Łodzi z moją rodziną?“ (którą musiałem przed kilkoma miesiącami opuścić, uciekając przed Prusakami i kilkoletniem więzieniem).

I otóż zdumienie moje nie miało granic, kiedy pani O., po przebyciu myślowem linji kolejowej, którą recytował prof. Narski, zaczęła opowiadać o domu i ulicy, na której mieszkałem i gdzie pozostawała moja rodzina; wyliczała szczegóły i przedmioty w mojem mieszkaniu, obrazy i sprzęty, imiona moich synów i żony, zaznaczając, w jakich są warunkach obecnie i t. d.

W pokoju panował dziwny, cichy nastrój... Uśpiona mówiła po francusku, każde jej słowo wyraźne padało w półmrok pokoju, jak słowo wyroczni delfickiej...

Czuliśmy wszyscy, że zjawiska tego nie zdołamy objaśnić li tylko analizą rozumową... Ujrzałem, iż w dziedzinie ducha jestem nieukiem, którego oczy przywykły do rzeczy znanych i zbadanych...

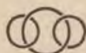
Po chwili jeden z zebranych, komendant miejscowej P. O. W., zadał pytanie: „Co się dzieje z komendantem Piłsudskim?“

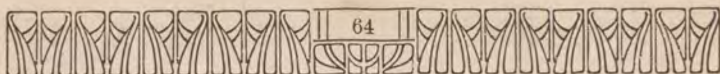
Prof. Narski dla ułatwienia pracy medjum recytował drogę kolejową do Magdeburga. Pani O. z wielkim wysiłkiem, marszcząc czoło, na którem wystąpiły krople potu, oświadczyła: „Non, je ne peux pas le touver (Nie, nie mogę go znaleźć). „Szukaj!“—twardo, rozkazująco powtórzył hypnotyzer.

Minęły 2 minuty... Czuliśmy wewnętrzny wysiłek medjum, skupienie się sił duchowych i natężenie myśli...

Głosem spokojnym pani O. zaczęła opowiadać o mieście i fortyfikacjach Magdeburga. Nareszcie zawołała radośnie: Et voilá et voilá c'est lui! Il est dans une chambre... couvert d'une couverture il est pâle, malade, epuisé. A coté de lui je vois un homme. Le commandent pense a vous, il souffre. Pauvre! Pauvre!.. (Otóż on jest w pokoju... przykryty kołdrą, blady, chory, wyczerpany. Obok niego jakiś mężczyzna. Myślą jest komendant z Wami... cierpi bardzo. Jaki on biedny!). Ostatnie słowa krzyknęła, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Wobec tak wzburzonego stanu medjum, prof. Narski zmuszony był przerwać seans. Pani O., przebudzona patrzyła na nas ze zdziwieniem, przepraszając, że zdrzemnęła się w towarzystwie... Wśród zebranych zapanował nastrój ciężki, przytłoczony... Każdy z nas z wysiłkiem tłumił wzruszenie, wspominając uwięzionego komendanta. Jednej z uczestniczek wieczoru, pani B., zaczęły nerwowo drgać usta. Ja również dość długo nie mogłem ochłonąć z wrażenia. Głos pani O. i słyszane rzeczy wywarły na mnie dziwne wrażenie, jakby głos odległy z dalekiego świata duchów... A jednocześnie wzbierała w nas nienawiść do najeźdźców, którzy część ziemi naszej oddali hajdamakom, a najdzielniejszego człowieka Polski więżą w Magdeburgu.





Ucieczka.

Brutalne i butne prusactwo, jakkolwiek nawskroś zmaterjalizowane, zdawało sobie jednak sprawę z wpływu rewolucjonizującego ducha i stworzyło w postaci licznych biur szpiegowskich, rozsianych po całym kraju, formalne fortece przeciwko nielegalnym odezwom i wydawnictwom. Nieraz, przeglądając dokumenty, pozostawione przez Prusaków, dziwiłem się, z jaką systematycznością i skrupulatnością kompletowali oni nielegalną literaturę i odezwy. Poważna część polskiej twórczości literackiej była na indeksie pruskim, a wydziały prasowe otrzymywały polecenie niszczenia niebezpiecznych wydawnictw nawet i w księgarniach. Za pomocą surowej cenzury i gadzinowej prasy starano się wmówić w społeczeństwo, że niema innego ratunku dla Polski poza państwami centralnemi, że za każde choćby najmniejsze usiłowanie wydobycia się z łap pruskich życie zamieni się dla śmiałków w ohydne więzienie lub śmierć głodową w obozie jeńców. Część społeczeństwa, tak zwani realiści aktywistyczni, zahypnotyzowani zwycięstwami i potęgą prusactwa, dochodzili do wniosku, że zdobycie dla narodu ustępstw można zyskać jedynie za cenę ugody i ścisłego sojuszu z Niemcami. Znana to była nam już dawniej śpiewka sfer ugodowych pod zaborem rosyjskim. Ludzie ci, posługując się podobnemi argumentami, budować Polskę chcieli w sojuszu „z wielką i wspaniałomyślną Rosją“.

Czciciele pięści i siły zapomnieli, że przed wytrwałą ofenzywą zbiorowego ducha i woli gwałt się nie ostoi.

* * *

Będąc członkiem Okręgowego Komitetu Robotniczego od 1915 do 1917 roku, nietylko redagowałem wszystkie odezwy i wydawnictwa P. P. S., ale i sam je drukowałem. Wydawnictwa te wśród przygnębionych nędzą i przemocą pruską mas robotniczych wzywały do oporu, budziły uśpionych i zachęcały do walki przeciw najeźdźczej brutalności. Ażeby nikogo nie wtajemniczać, rozebrałem drukarnię „bostonkę" i przeniosłem w worku do konspiracyjnego mieszkania. W ślicznym pałacyku jednego z fabrykantów łódzkich przy ulicy Nowo-Spacerowej, w mieszkaniu tow. Purtala, który był tam portjerem, urządziliśmy idealną drukarnię konspiracyjną. Dwaj synowie tow. P., członkowie Okręgówki, z zawodu stolarze, urządzili kasztę i odpowiednią szafkę. Na drukarni tej odbijaliśmy tylko odezwy.

„Łodzianina" ze względu na format drukować musieliśmy w prywatnych drukarniach, co wobec olbrzymich kar, jakie groziły w razie wykrycia właścicielom, było od dłuższego czasu niemożliwe.

Pewnego ranka drukarz G. zgodził się wydrukować numer jubileuszowy (dwudziestopięciolecie P. P. S.) „Łodzianina". Dałem kilkadziesiąt rubli zadatku. Napisałem treść do całego numeru i oczekiwałem na korektę w niedzielę dnia 2 grudnia r. 1917.

Tymczasem o oznaczonej godzinie zwaliła się do mego mieszkania czereda szpicli z rękopisami „Łodzianina", zapytując, czy to moja praca? Odpowiedziałem im spokojnie, że wobec surowej cenzury niemieckiej jest to jedyna droga do swobodnego wypowiadania myśli i przekonań.

— Aresztuję Pana, proszę się ubierać i iść z nami — rzekł wyniośle jakiś drab pruski.

Żona i dzieci rzuciły się z płaczem ku mnie, zawodząc rozpaczliwie. Uspokajałem ich jak mogłem, a do żony na odchodnem powiedziałem ostentacyjnie:

— Pamiętaj, jeśli zginę w więzieniu, to synów wychowaj tak, aby pomścili śmierć swego ojca.

Za krzywdy nasze i swoje lud niemiecki zapłaci im kiedyś!

— Panie Radny, niech się pan nie zapomina!...— przerwał ze złością w języku niemieckim komisarz policji. Otoczony kilku szpiclami, udałem się do biura policji polowej przy ulicy Piotrkowskiej.

Po drodze nasuwały mi się smutne refleksje. Myślałem o tych latach, które ze względu na stopień winy będę musiał odsiadywać w więzieniu. W wyobraźni stanął mi szereg widzianych dawniej nieszczęśliwców, którzy odbyli karę więzienną, bladych, opuchniętych, niezdolnych do pracy, o których wraz z radnym Wolczyńskim napróżno interpelowaliśmy w Radzie Miejskiej.

(W odpowiedzi otrzymaliśmy wtedy od prezydenta policji Loehrsa list, pełen pogróżek i napomnień).

— I ty się takim staniesz w jarzmie pruskiem; spokorniejesz jak inni, głód zabije w tobie myśl i bunt wolnego ducha, a postępowanie brutalnych dozorców wypłoszy z ciebie wszelką myśl oporu — brzmiało mi w uszach złowieszczo.

— Nigdy! — wyrzekłem z mocą — lepsza śmierć niż niewola! I od tej chwili zacząłem gorączkowo myśleć o ucieczce:

W lokalu policji polowej odpowiadałem na zadawane pytania dosyć lakonicznie, biorąc całą winę na siebie.

— Wspólników nie miał pan jakich? — zapytał wkońcu urzędnik.

— Nie miałem — odrzekłem.

Po podpisaniu protokółu, w towarzystwie dwóch żołnierzy niemieckich polecono mnie odprowadzić do więzienia wojskowego przy ulicy Długiej. Jeden z towarzyszących mi żołnierzy, Ślązak, zapytał mię po polsku:

— Za co oni idą do śtrofhausu?

— Chciałem, żeby Prusacy wynieśli się do „Vaterlandu“!

— Oho — rzekł z przekąsem — tego nie bedzie, bo Niemcy cały świat zwojują, bo nimiecki cysorz to najmądrzejszy ze wszystkich królów!...

— Przyjdzie kreska na Matyska — dodałem — czując bezskuteczność dalszej dyskusji.

Djalog ze Ślązakiem nasunął mi smutne refleksje. Wszak i my w Królestwie od roku 1863 mieliśmy większość włościan, którzy również z dumą nazywali się „Cysarskimi ludźmi".

Ta sama gangrena toczy część włościan galicyjskich — pomyślałem z goryczą: „Niewola sączy jad!"...

Ażeby wysondować nastrój, rozpocząłem rozmowę z drugim żołnierzem. Dowiedziałem się od niego, że pochodzi z Królewca, jest z zawodu stolarzem, należy do związku zawodowego i do partji S.-D.

Po krótkim wstępie wskazałem mu na ucisk, gwałt i haniebną rolę, jaką odgrywają władze niemieckie w naszym kraju.

Mrukliwy Niemiec zamyślił się trochę i odrzekł:

— Traurige Notwendigkeit, vergessen Sie nicht, dass wir im Feindeslande sind! (Smutna konieczność, nie zapomnijcie, że znajdujemy się w kraju wroga). Po tych rozmowach upewniłem się na dobre, że wobec cesarsko-niemieckiego socjaldemokraty i „cysarskiego" Ślązaka wszelkie porozumienie celem uzyskania wolności jest wyłączone.

Zacząłem przemyśliwać nad sposobem ucieczki.

Ulica Piotrkowska w niedzielę o godzinie 7-ej wieczorem była jak zwykle zapełniona bezmyślnymi spacerowiczami, obojętnie przypatrującymi się nam z boku, nie zastanawiającymi się widocznie nad kwestjami, które mogłyby zaprowadzić ich do więzienia. Czułem, że zbliża się dla mnie chwila rozstrzygająca: albo postawić na kartę wszystko, lub też zgodzić się na powolne konanie w więzieniu pruskiem. Z tyłu zbliżał się tramwaj w stronę Nowego Rynku. Wagon zrównał się z nami. Zacisnąłem silnie pięść i grzmotnąłem

potężnym boksem Prusaka między oczy. Cios był skuteczny, bo Prusak coś zabełkotał i, wypuszczając karabin z ręki, runął jak długi na ziemię...

Błyskawicznie chwyciłem się antaby „dodatku“ tramwajowego i skoczyłem do wagonu. Wszystko to stało się tak szybko, że Ślązak zaskoczony pochylił się do powalonego na ziemię Prusaka. Po chwili jednak Ślązak puścił się w pogoń za wagonem. Przebiegłem przez całą długość „dodatku“ i, wyjąwszy z lewej strony wagonu drzwiczki, wyskoczyłem w biegu.

Byłem wolny!... Czułem, że jakaś wstępuje we mnie nadludzka moc, która zdruzgocze wszystkie przeszkody, stojące mi na drodze do wolności.

„Wolnyś!“ — powtarzałem w oszołomieniu sam do siebie z radością — za mną męka samotnych miesięcy, głód i nienawistni Prusacy.

— Wolnyś! — szumiał mi wiatr, a serce waliło jak młotem. Ślubowałem sobie w duszy, że mnie żywego Prusacy już nie dostaną, że w razie aresztowania drogo sprzedam życie.

Udałem się do tow. Kiermasa na Widzew, a stamtąd po dwóch tygodniach, pomimo licznej sfory niemieckich szpicli, poszukujących mnie niezmordowanie, przeprawiłem się szczęśliwie do okupacji austrjackiej, gdzie rozpocząłem pod przybranem nazwiskiem znów to samo, co w Łodzi: walkę z przemocą i skupianie sił żywotnych do ostatecznej rozprawy z najeźdźcami...

